

[REDACTED]

Pracownik kulturalno - oświatowy. Urodzony w 1938 roku w Krotoszynie /ob. woj. kaliskie/. Od 1960 roku mieszka na Opolszczyźnie /Strzelce Opolskie, Namysłów/. Pochodzi z rodziny robotniczej. Wykształcenie - niepełne wyższe pedagogiczne. Żonaty. Członek PZPR. Nr ewid. pamiętnika 779.

## I. WITAJ OPOLSZCZYZNO !

Jest nas troje : ojciec - Wielkopolanin, matka - Zagłębianka, córka - ... Ślązaczka. Łącznie mamy tyle lat ile żyjący jeszcze uczestnicy powstań śląskich. Suma lat nie może jednak być sumą wspomnień, jakże innych mimo "raz na wozie - raz pod wozem" od wspomnień tych, którzy żyją, chociaż mieli umrzeć.

Po ukończeniu w 1956 roku liceum pedagogicznego w rodzinnym Krotoszynie otrzymałem nakaz do pracy w zakładzie wychowawczym w historycznej dzielnicy Sułkowskim Rydzynie. Pracowałem tam cztery lata, chociaż wcześniej już miałem ochotę ucieknąć. Udało się zupełnie nieoczekiwanie w 1960 roku.

Rok wcześniej podjąłem pierwsze studia na opolskiej WSP. Po raz pierwszy zobaczyłem Opole w maju. Zdawałem wtedy egzamin wstępny. Przyjechałem dzień wcześniej i całe popołudnie poświęciłem na zakupienie bezpłatnego łóżka po mieście. Podobało mi się bardzo, tak bardzo, że już wtedy zrodziła się chęć zamieszkania w tym czystym, schludnym, o swoistej urodzie nadodrzańskim mieście. Nie wierzyłem zresztą w możliwość realizacji tych zamierzeń, co nie było takie odległe od rzeczywistości, bo do dziś w Opolu nie mieszkam. Egzamin zdałem, zostałem przyjęty, spędziłem na sesji letniej cały lipiec w Opolu i miałem okazję jeszcze lepiej je poznać, polubić i ... poznać i wypić się na każdym kroku cementu. Ten cement siadający na kosciały, na ustach, osłabiał trochę pierwsze wrażenie,

nie był jednak w stanie całkowicie go przyszończyć. W czasie sesji letniej, właśnie w lipcu 1960 roku, kolega, były współpracownik z rydzyskiego zakładu a wówczas już od roku mieszkaniec Opolszczyzny, poinformował o brakach kadrowych w placówkach upowszechniania kultury w województwie opolskim, namówił mnie do podjęcia w jednej z nich pracy. A startowało się wtedy z wysokiego pułapu - zostałem kierownikiem Powiatowego Domu Kultury.

Do objęcia tego stanowiska wystarczyło niewiele: cztery lata praktyki nauczycielskiej, trochę wcześniejszych zainteresowań teatrem i ...chęci szczerze. Tej miałem najwięcej. Nie dla kierowniczego stołka ale dla wyrwania się ze szkoły. Nudziły mnie co roku te same programy, te same czytanki, ten sam rytm dnia, tygodnia, roku. Co prawda, byłem aktywnym sportowcem i działaczem LZS, było to jednak za mało. Postanowiłem okazji do zmiany nie przepuścić, chociaż nie miałem absolutnie pewności, że dam sobie radę na proponowanym mi stanowisku. Dla pewności więc, wybrałem spośród kilku miast, ...najgorszą placówkę. Była to zwykła asekuracja: dam sobie radę w PDK w ogóle to dam sobie i w tym najgorszym. Nie dam sobie rady - to przynajmniej niewiele zepsuję. Wybór padł na Strzelce Opolskie. Nastąpił on w gabinecie kierownika Wydziału Kultury PWN. Po tej wizycie odbyłem następną już w Strzelcach. Zapoznałem się najpierw z budynkiem, później trochę z niezbyt chlubną o nim opinią panującą w mieście, w końcu z "władzą" czyli przewodniczącym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Potraktowano mnie prawie jak "zbawienie", bo od pół roku placówka nie dość, że nie miała instruktorów, nie miała również "głowy". Obietnice były dość zachęcające: mieszkanie kawalerskie w nowym budynku, możliwość utrzymania kontaktu ze szkołą /prowadzenie lekcji języka polskiego w jednej klasie którejś ze szkół/, umożliwienie kontynuowania

studiów zaocznych i w końcu nienajgorsza pensja - 1300,-złoty.

Dyrekcja zakładu nie stawiała przeszkód w pożegnaniu [REDAKTOR], gorzej było z poznańskim kuratorium szkolnym. Braki kadrowe występowały przecież i w szkolnictwie, szczególnie specjalnym, więc każdy był na wadze, jeśli nie nawet złota, to jednak na każdym zależało. Moje argumenty o "konieczności zasilania kadr Ziemi Odzyskanych" zostały w końcu wysłuchane i 1 września 1960 roku stałem się nieszkolnionym Opolszczyzny a jednocześnie tego samego dnia zmieniałem zawód "wykonywany" z nauczyciela na pracownika kulturalno-oświatowego.

O ile najlepsze wrażenie z Opola zostało z pierwszego w nim spędzonego dnia, o tyle pierwszy dzień w Strzelcach zapisał się raczej na czarno. Najpierw dowiedziałem się, że na obiecane mieszkanie muszę poczekać do zakończenia budowy bloku, potem że pensja będzie o trzy-ście złotych mniejsza, bo tego wymagają przepisy o okresie próbnym i wreszcie, że praca kierownika domu kultury to bardzo wielokierunkowa działalność a pierwszą moją interwencją służbową było wzywanie kanalizatora do usunięcia awarii powodującej niesamowity szaród w zalanej hali sali widowiskowej.

"zamieszkałem" na okres oczekiwania swojej kawalerki w jednym z pokoiów POK, w którym mieściła się biblioteka repertuarowa. Pokój znajdował się na drugim piętrze. Byłem też w sekretariacie piętro niżej przed rozpoczęciem pracy przez sekretarkę. Wieczorem również były ograniczenia czasowe. W Strzelcach, jako jedynym ze znanych mi miast, zamykano wodę od godziny 23 wieczorem do 3 rano. Jeśli więc nie złączyłem się, umyć przed godziną 23 albo się spać bez mycia albo ... czekało nad książkami do 3 rano.

Mieszkanie w peduku miało i swe dobre strony. Miałem pod ręką wszystko z czego mogłem nauczyć się pracy. Poradniki, przepisy prawne, kroniki. I poświęcałem na naukę cały wolny czas. Oplacało się to stokrotnie. Już po kilku dniach znałem zupełnie ni dotąd obcy administracyjny i budżetowy słownik. Wiedziałem już też w ogólnym zarysie w jakim celu istnieją powiatowe domy kultury, jakie są ich zadania, co należy w nich robić.

Swoje mieszkanie otrzymałem dopiero w styczniu. Byłem z niego całkowicie zadowolony. Był to mały ale zupełnie wystarczający pokój z kuchenną wnęką, łazienką i przedpokojem. Jedyną jego niedoskonałością był brak centralnego ogrzewania. Blok znajdował się w odległości 100 metrów od PDK, w centrum miasta. Bo wtedy centrum nie stanowił Rynek. Wyremontowany już po wojennych zniszczeniach ratusz otoczony był z wszystkich stron ruinami. Robiło to na przybyszach przygnębiające wrażenie. Odbudowa Rynku ruszyła dopiero chyba w 1962 roku, po wizycie w Strzelcach przewodniczącego Rady Państwa A. [REDAKTOR], któremu również nie podobała się opieczętność miejscowych władz w odbudowie centralnej części miasta. Dziś w miejscu gdzie wtedy straszły ruiny stoją piękne bloki a ich partery stanowią handlowe centrum miasteczka.

## II. I CO DALEJ ?

Strzelecki Powiatowy Dom Kultury swoją historię rozpoczął około 1950 roku. Ulokowano go w liczącym około 100 lat budynku. Przed wojną znajdował się w nim hotel z restauracją i salą widowiskowo-zabawową. Również w pierwszych latach powojennych spełniał te funkcje. Po remoncie otwarto w nim Dom Kultury Związków Zawodowych, potem był wielokrotnie jeszcze remontowany, zamykany, zmieniano nazwę i właściciela, aż wreszcie już ustalono nazwę na Powiatowy Dom Kultury podległy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, podobnie jak we wszystkich prawie miastach powiatowych w kraju. Placówka miała swoje waloty i upadki, związane najczęściej z częstymi zmianami kadrowymi. Ostatnie przed 1960 rokami lata nie były dla niej szczęśliwe.

Nastąpiło półroczne "bezkrólewie", trwające do objęcia stanowiska przeze mnie. Wiedziałem, że patrzą na mnie pod kątem:

co teraz ten znalazł?

W latach licealnych przeszedłem dobrą ZMP-owską szkołę działania. Postanowiłem więc natychmiast zmienić sytuację, podnieść prestiż placówki i u władz i wśród społeczeństwa. Jak to jednak zrobić? Zasadniczą trudność to brak kadry i lokali. PDK zatrudniał wówczas tylko jednego instruktora na etacie. Był to przed rokiem "upieczony" absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był plastykiem, artystą plastykiem. Nie widział siebie w innej roli, a instruktor domu kultury to znacznie więcej - organizator przede wszystkim. Dotychczas A [redacted], bo tak mi było na imię, większość czasu pracy spędzał ze szaługami w mieście lub w urządzonej sobie pracowni malował portrety "upolowanych" na ulicy "ciekawych plastycznie twarzy".

Z jego inicjatywy Centralne Biuro Wystaw Artystycznych w Opolu organizowało w Strzelcach systematycznie różnego rodzaju wystawy, które Antos urządzał. I to było wszystko.

I to było również wszystko, co można nazwać kadrą kulturalną placówki. Oprócz A [redacted] i sekretarki w "pedaku" zatrudnieni byli wówczas: sprzątaczką, woźny i rzeźbiarowa w niepełnym wymiarze czasu pracy "kierowniczką" "klubu prasy i książki".

Funkcje woźnego i sprzątaczkę pełnili małżeństwo M [redacted]. Mieszkali w oddalonym o 3 kilometry od Strzeliec Roźniatowie. Tam na wsi mieli małe, chyba półhektarowe gospodarstwo. Hodowali świnkę, trochę kur, kaczek i gęsi. Zarabiali w domu kultury ponad półtora tysiąca złotych. W zimie Malik otrzymywał dodatkowo około 500 złotych za palenie w kotłowni centralnego ogrzewania. Przy okazji imprez zawodowych zespołów artystycznych dorabiali jeszcze parę złotych - M [redacted] za wyklejanie afiszów a M [redacted] za sprząatanie sali. Przy tych skromnych zarobkach M [redacted] uparli się wykształcić dzieci. Tylko najstarszy syn zakończył edukację w szkole podstawowej i był traktorystą. Kolejny syn ukończył opolską ZSP, pierwsza córka raciborskie Studium Nauczycielskie, kolejna po kursie w Uniwersytecie Ludowym

i podjęciu pracy, zaoferowała średnie wykształcenie. Przed wojną oboje pracowali w majątku jakiegoś grafa w Kalinowicach. Należeli więc do najgorszej klasy społecznej. W czasie wojny M. mobilizowano i walczył na froncie wschodnim. W tym czasie M. urodziła syna. Niemowlę zostało w jakiś sposób poparzone. M. wezwała lekarza, oczywiście niemieckiego. Lekarz nie przyszedł. Zawiosła więc dziecko do Strzeleckiego szpitala. Nie zostało przyjęte. Wszędzie słyszała: Polen. Nie miało znaczenia dla nich to, że ojciec dziecka walczy za "wielkie Niemcy". Dziecko zmarło. M. wrócił z poważnymi odrosteniami nóg. Ci ludzie, mimo, że M. słabo czytała a zupełnie nie umiała pisać po Polsku, umieli Polskę ocenić bardziej, niż niejeden wygłaszający z wiecowych trybun patetyczne hasła.

Sąsiedzi, znając M. jako fernali, drwili, że dzieci chcą wyprowadzić na "panów". Wielokrotnie M. żaliła się na drobne złośliwości z jakimi musiała się borykać.

W pracy byli bardzo sumienni. Budynek trudno było utrzymać w czystości. Stare, w wielu miejscach zmurowane podłogi opierały się froterce, ze ścian sypał się w wielu miejscach tynk. Mimo to, zawsze robił estetyczne wrażenie. M., w przeciwieństwie do solidnie zbudowanej żony, był niski i bardzo drobny. Jak większość Ślązaków uwielbiał piwo. Niestety, po jednej "halbie" język już stawał się drewniany, głowa się kiwała i zostawał zdekonspirowany przed czuwającą nad jego abstynencją małżonką. Nigdy nie zdażyło się jednak, żeby M., nawet po kilku piwach, zaniedbał swoich obowiązków.

Tacy więc byli moi współpracownicy tworzący kadrę "pedelu" we wrześniu.

Dom kultury składał się z kompleksu zabudowań z małym podwórkiem między nimi, na które wjeżdżało się bramą pod salą widowiskową. Nie posiadał jednak ...lokali. Zabrali je sublimatorzy - przeróżne organizacje społeczne, upychane w pokojach PDK przez

władze powiatowe. Niby władze postępowały słusznie : dom kultury nie jest w stanie ich zagospodarować a organizacje społeczne nie mają gdzie się podziąć, niech więc zamieszkają w "pedelu". W ten sposób dwa pokoje otrzymali harcerze na biura komendy hufca, ZBoWiD, ZP TRZZ, ZO PTK, ZP TWP. Ponadto mieściło się radio-klub LOK. Był to klub z nazwy a magazyn różnych rupieci w rzeczywistości. Trzy większe pomieszczenia zajmowała Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna, z czym już było się pogodzić, mniej natomiast z umieszczeniem w budynku domu kultury biura Wydziału Kultury P PRN. Właścicielowi obiektu pozostały poza salą widowiskową i wspomnianą pracownią plastyczną sekretariat, biuro kierownika, pokój poradni instrukcyjno-estetycznej zamieniony czasowo na moje "mieszkanie" i "klub prasy i książki". Cudzyków dotyczy tu nie tylko nazwy. Była to w najgorszym stylu świetlica, źle wyposażona, brudna i służąca przede wszystkim jako popołudniowa i wieczorna izba wytrzeźwień klientów pobliskiej "Polonii". Przychodzili stamtąd, siadali przy "klubowych" stolikach, często kładli na nich głowy i drzemając doczekiwali godziny 22. Wtedy dopiero "kierowniczką" klubu przypominała sobie o swoich obowiązkach, przerywała robotę na drutach i energicznie wyrzucała bywalców z lokalu.

Poznałem "klubowy" klimat pierwszego dnia. Nikt mnie nie znał, siadłem przy jednym ze stolików i zjadłem gazety obserwowałem i bywalców i kierowniczkę. Tej ostatniej przedstawiłem się w momencie zamykania przez nią klubu. Nie przypuszczałem, że jest aż tak "ambitna", następnego dnia przyniosła wypowiedzenie umowy.

Nie było więc faktycznie różowo. Obraz przedstawiony mi w lipcu przez kierowniczkę Wydziału Kultury w Opolu był wiernym odzwierciedleniem zastanego stanu.

Ale jak wcześniej wspominałem - przeszedłem dobrą zetempową szkołę działania.

### III. NIE TAKI DIABŁE STRASZNY

Rozpocząłem od walki o odzyskanie pomieszczeń. Trudno. Naraziłem się zasłużonym i mniej zasłużonym działaczom różnych organizacji, którzy mieli "społeczny obowiązek" raz w tygodniu, albo i rzadziej, otwierać biuro i urzędować. Dałem im wypowiedzenie lokali, grozili egzekutywą KP, nasłuchiwać się: "za młodzi jesteście towarzyszu aby znać zasługi naszej organizacji", czasem nawet i gorsze rzeczy do mnie docierały.

Ostatecznie organizacje zostały, tyle, że zebrano je do jednego biura/poza ZMP/, które sobie kolejno w wyznaczonych dniach otwierali. Był to więc pierwszy, chociaż połowiczny sukces. Zresztą, - nie byłem absolutnie wrogiem tych organizacji. Denerwowało mnie tylko, że cała ich działalność to otwieranie biura, do którego najczęściej poza dyżurującą członkinią zarządu nikt nie przychodził.

Następny etap to szukanie współpracowników. Okazało się, że są w Strzelcach ludzie, którzy posiadają kwalifikacje i są skłonni podjąć pracę w domu kultury w charakterze godzinowych instruktorów zespołów artystycznych. Przeprowadziłem z nimi indywidualne rozmowy, ustaliliśmy zasady współpracy i w efekcie już pod koniec września w pustym dotąd budynku coś się zaczęło dziać. Działo wtedy już chyba 7 zespołów artystycznych. A [redacted] bez przerwy "malował" plakaty informujące o założeniu zespołu muzycznego, tanecznego, recytatorskiego i innych, o przyjmowaniu do nich zapisów członków.

Miasto jakby na to czekało. Nie narzekaliśmy na nabór. Już w listopadzie niektóre zespoły wystąpiły z pierwszymi pokazami, na miernym na pewno poziomie, ważne jednak było samo ich pokazanie się.

Reorganizacji uległ również "klub prasy i książki".



Zamknąłem go, zamówiłem malarza, A [ ] zrobił projekt izolarystyczny ścian i urządzenia, po długim chodzeniu do przewodniczącego Prezydium otrzymałem SFOS-owską dotację na zakup nowych mebli, podpisałem wynajem z P33 o prowadzenie bezalkoholowego bufetu i w połowie listopada nastąpiło otwarcie nowego klubu, tym razem już w pełni odpowiadającego nazwie. Klub stał się wkrótce bardzo popularny w mieście.

Różnie było natomiast z organizowanymi w nim imprezami. Były "wsypy frekwencyjne" na niektórych spotkaniach. Po prostu ta forma nie była jeszcze popularna. Z czasem jednak i to zaczęło się udawać.

Nie udało się natomiast wygospodarować czasu na studia. Termin egzaminów zbliżał się a tu ciągle jeszcze było coś "ważniejszego" do załatwienia. Tak z a z a t w i ż e m studia na opolskiej uczelni. Dramatu z tego nie robiłem. Miałem dopiero 22 lata i całe życie przed sobą. Liczyłem, że po uporaniu się z "rozruchem" placówki wrócę na uczelnię i ją dokończę.

Teraz cały czas poświęcałem pracy. Chciałem samemu sobie udowodnić, że kierowanie jakby nie było powiatową instytucją, nie przerasta moich możliwości. Nie chciałem też zawieść strzeleckich władz. Szczególnie przewodniczący Prezydium wykazywał duże zainteresowanie moją pracą i pracą całego domu kultury. Odwiedzał nas w czasie prób, po otwarciu klubu był jego stałym bywalcem, co mnie też trochę kosztowało, bo ciągle wygrywał ze mną kawę w szachowych partyjkach. Starał się mi pomagać w pokonywaniu trudności i ... temperował od czasu do czasu niezbyt spokojny temperament.

Okazji do tego miał, muszę przyznać, sporo. Nauczono mnie w szkole: jeśli jesteś pewien swojej racji musisz ją nie tylko udowodnić ale według niej postępować. Teraz jednak, kiedy dość często wypadło mi kontaktować się z przedstawicielami powiatowych władz, maksyma ta nie zawsze mogła mieć zastosowanie, szczególnie w Strzelcach, gdzie dość powszechnie stosowano zasadę: rację ma ten, kto stoi na wyższym stanowisku. Do dziś twierdzę, że jest to najgłupsza zasada

Polski powiatowej, nauczyłem się już jednak do niej stosować. No-  
że nie nauczyłem a nauczyli mnie.

#### IV. ZOSTAJĘ DZIAŁACZEM

Przed kilku miesiącami zmieniłem dowód osobisty. Wypełnia-  
jąc odpowiednią ankietę, wpisałem w rubryce : zawód - pracownik kul-  
turalno-oświatowy. W dowodzie mam jednak wpisane : nauczyciel. Po-  
prostu nie ma mojego aktualnego zawodu na liście zawodów PRL posia-  
danej przez organa Milicji Obywatelskiej wydające dowody osobiste.  
My, zawodowo pracujący w placówkach upowszechniania kultury rzadko  
tylko uważani jesteśmy za działaczy kultury. Działacz to  
podobno osoba wykonująca coś bezinteresownie. My bierzemy pieniądze.  
Żeby więc pracownik mógł być uważany za działacza, musi działac-  
ć poza placówką, czyli w różnych organizacjach społecznych.  
Moim zdaniem mamy organizacji w kraju za dużo. Rozproszenie aktywu  
powoduje, że żadna organizacja nie jest silna. Myślę tu o powiato-  
wych ogniwach organizacji. Wiele organizacji to kolosy na nogach  
papierkowych. Oczywiście nie wszystkie i nie wszędzie,  
zbyt jednak często.

Do społecznej działalności startowałem w Strzelcach od ZMS-u.  
Zostałem wybrany sekretarzem grupy przy Prezydium PRL. Byłem z tego  
bardzo zadowolony. Grupa liczyła ponad 20 członków, młodych ludzi  
pracujących w administracji, wszyscy ze średnią wykształceniem.  
Wykorzystując możliwości jakie daje mi stanowisko służbowe można  
było prowadzić atrakcyjną pracę w grupie. Początkowo się nawet uda-  
wało. Ciekawe spotkania w klubie podkowskim, wieczorki rozrywkowe.  
Z czasem zaczynało się jednak rozkładać. W grupie zdecydowaną

większość stanowiły dalewcząta. Właśnie wtedy seryjnie zaczęły wychodzić za mąż i nie wiadomo dlaczego, "przestawały być młodzieżą". Po roku, w czasie następnych wyborów zrzekłem się funkcji sekretarza.

W międzyczasie awansowałem na szczebel "działacza powiatowego". Któregoś dnia poprosił mnie o natychmiastowe przyjście do Komitetu sekretarz propagandy. Poszedłem. Kazano mi iść do sali posiedzeń egzekutywy. Siedziało tam kilka osób, głównie nauczycieli. Okazało się, że odbywało się właśnie posiedzenie Zarządu Powiatowego Towarzystwa Szkoły Świeckiej. Powiadomił mnie o tym prowadzący zebranie sekretarz KP. Powiadomił mnie też, że decyzją zarządu zostaje wybrany w jego skład i wybrany jego.... przewodniczącym, co zostało zaakceptowane przez Komitet Powiatowy. Zostałem więc przewodniczącym powiatowej organizacji, o której słyszałem dotąd naprawdę niewiele.

Mój poprzednik był wybitnie "papierowym szefem". Zwolniono go więc. Prawdopodobnie nikt z zarządu nie chciał tej funkcji przyjąć, szukali więc kandydatów zewnątrz. Wybór padł na mnie. Nie dlatego, że byłem odpowiednim kandydatem ale dlatego, że nie miałem jeszcze żadnych funkcji społecznych. Całe szczęście, że statutowe zadania PPS odpowiadały moim przekonaniom.

Zorganizowałem przy PPS finansowany przez PPS Uniwersytet dla Rodziców. Wykłady odbywały się dwa razy w miesiącu. Rekrutację przeprowadzikiem przy pomocy kierowników szkół. Potem już o każdym wykładzie zawiadamiałem wszystkich "studentów" /większość stanowiły panie/ pisemnie. Frekwencja była zawsze dobra, dyskusje z prelegentami ciekawe i często bardzo się przeciągające.

Powodzenie z uniwersytetem zadecydowało, że nasz zarząd uznawany był przez pracujący na etacie Zarząd Wojewódzki za dobry a efektem tego było postawienie mojej kandydatury na zjeździe wojewódzkim do plenum Zarządu Wojewódzkiego. Wybory były jasne na listę

więc awansowałem na kolejny szczebel. Po dwóch latach przewodniczenia zarządowi powiatowemu zakomunikowałem sekretarzowi KP, że dłużej lipy robić nie chcę i na kolejnym posiedzeniu zostałem zwolniony z tej funkcji.

#### V. PIERWSZE DWA LATA

Praca w domu kultury wciągnęła mnie całkowicie i co jest szczególnie ważne, bardziej mi odpowiadała od nazwijmy to wielce - pedagogicznej. Muszę jednak przyznać, że nie wiem jak by się sytuacja ułożyła gdyby nie doświadczenia wyniesione właśnie z czteroletniej praktyki nauczycielskiej. Na pewno ułatwiała mi ona zarówno porozumienie się z młodzieżą skupioną w pedekowskich zespołach artystycznych jak również z dorosłymi odbiorcami naszej działalności. Z działalności pozaszkolnej w Rydzynie wyniosłem ponadto cenne w tej chwili doświadczenia organizacyjne. Byłem tam skromnym działaczem LZS-u ale właśnie w ten sposób znałem środowisko, jego sposób reakcji na propozycje "powiatu" czy władz. Tu, jakby nie było reprezentowałem już "powiat" i przed każdą decyzją stawiałem się w roli jej odbiorcy. W ten sposób wiele zamysłów zostało wycofanych z realizacji zanim je podjęto, wiele zostało skorygowanych. Zawsze lub prawie zawsze wychodziło to mnie i placówce na dobre.

Mimo pewnych zgrzytów wynikających najczęściej z temperamentu, często trochę silniejszego ode mnie, układało się wszystko znakomicie. Byłem zadowolony z siebie, były zadowolone ze mnie władze powiatowe i wydział kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, o czym świadczą częste nagrody i wyróżnienia. Oczywiście dziś patrząc na tante lata widzę, że niektóre sprawy należało robić inaczej.

Wtedy jednak byłem i młodszy i miałem przecież ciągle niewielki staż.

Gros czasu poświęcałem wówczas działalności zespołów artystycznych. Działali ich przy PDK kilka. Sam prowadziłem od wiosny 1961 roku znany później na całej prawie Opolszczyźnie kabaret "Jannik". Członkowie zespołu byli młodzi pracownicy różnych strzeleckich zakładów, wszyscy pracujący. W ciągu krótkiego czasu przygotowaliśmy sześć programów, z których najwyższą ceną, zatytułowany "Warszawa da się lubić", a którego premiera nastąpiła we wrześniu 1961 roku. Program ten w ciekawy / nie tylko moja opinia / sposób pokazywał Warszawę. Obraz pierwszy przedstawiał Warszawę przedwojenną a właściwie ludzi ją zamieszkujących. Część druga poświęcona była stolicy-bohaterowi ostatniej wojny i wreszcie część trzecia to okres powojennej odbudowy. Wszystko przeproszenie i dramatyczne miniaturki ukazane. Program zakupiony został "na pniu" przez Wojewódzki Komitet SPOSIK. Wożono nas po różnych miastach województwa a cały dochód z imprez przeznaczano na fundusz odbudowy stolicy. Nam zakupiono za to za kilkadziesiąt tysięcy złotych sprzęt muzyczny i radiotechniczny.

Również za duży sukces artystyczny zespołu i swój /scenariusz i reżyseria podobnie jak przy wszystkich programach "Jannika" / uważam program zatytułowany "Miasteczko". Pierwsza jego premiera nastąpiła wiosną 1962 roku. "Miasteczko" to satyryczny obraz anonimowego miasteczka z jego przywarami, śmiesznościami, jego ludźmi cierpiącymi na chorobę, którą można nazwać "prowincją". "Miasteczkiem" wygraliśmy w 1962 roku wojewódzki przegląd zespołów teatralnych małych form w grupie zespołów rozrywkowych.

Te sukcesy, zresztą i inne, wyrabiały mi opinię dobrego kierownika domu kultury. Otrzymałem w styczniu 1961 roku i w rok później podwyżki wynagrodzenia, co również jest jakimś dowodem uznania ze strony władz.

Paradoksem więc może się wydawać, ale kierowany przeze mnie Powiatowy Dom Kultury nie pracował dobrze a przynajmniej nie pracował zgodnie ze statutem. Nie widzieliśmy w swojej działalności strzeleckiej wsi a przecież sama nazwa "powiatowy" wskazuje, że obok zainteresowania środowiskiem należało również widzieć potrzeby wiejskich świetlic i ludzi z nich korzystających. Jedynym usprawiedliwieniem może być fakt, że PDK w Strzelcach nie był wyjątkiem, że wszystkie "pedaki" koncentrowały się głównie na powiatowej swojej siedzibie i działalności artystycznej i ewentualnie rozrywkowej.

Decydowało o tym wiele czynników. Przede wszystkim braki kadrowe. Miałem w swojej placówce trzy etaty instruktorskie ale w ciągu pierwszych dwóch lat nigdy nie było zatrudnionych dwóch jednocześnie a przez wiele miesięcy pracowałem zupełnie sam, bez instruktorów.

Dom kultury w Strzelcach nie był wyjątkiem. Wszystkie miały podobne problemy kadrowe. Brak placówek kształcących kadry instruktorskie powodował, że do domów kultury przychodzili ludzie z przypadku. Sam przecież jestem tego dowodem. Jedni zostawali, inni nie wytrzymywali. Dzień pracy nie kończy się u nas po siedmiu czy ośmiu godzinach. Nie ma "konstytucyjnej" wolnej niedzieli, świąt, czasu na kino, książki nawet.

To właśnie bardzo przykre ale od czasu pracy w domu kultury należę do grupy ...najmniej czytających. Trzeba być na bieżąco w problematyce społeczno-politycznej - czyta się więc dużo czasopism. Podobnie z problematyką zawodową. ciągle jakieś nowinki - trzeba je poznać. Znowa więc lektura przede wszystkim zawodowej prasy i wydawnictw specjalistycznych. Na lekturę beletrystyki zostaje już naprawdę tak mało czasu, że jeśli już się po nią sięga to albo po super betselera albo dla relaksu po.... kryminał lub co mnie szczególnie interesuje, reportaż obyczajowo-społeczny.

Jest jeszcze jedno wydarzenie z roku 1961 szczególnie dla mnie ważne. Przyszedłem do Strzelca jako osoba bezpaństwowa. Po pięciu miesiącach pobytu /mniej niż wymaga tego statut/ zostałem przyjęty w grono kandydatów PZPR. W sierpniu, decyzją POP uzyskałem prawa członkowskie.

Były więc te dwa lata "wstępного stażu" niezbędnym dla dalszej pracy okresowa nauki, poznawania "rodowiska, ludzi, zawodu. Nauczyłem się dużo. Był to olbrzymi kapitał na przyszłość.

Nie mogę do tego kapitału nie wliczyć ... uroczej, nakołej biblioteczki.

## VI. OZNEK

---

---

A [redacted] ukończyła w czerwcu 1961 roku strzeleckie liceum ogólnokształcące. Miała wówczas 13 lat. Nie dostała się na studia. Szukała więc pracy. Jej matka, pracująca jako kasjerka w miejscowym kinie, dowiedziała się o wolnym etacie w pokrewnej placówce - w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej mającej swą siedzibę w domu kultury.

A [redacted] została zaangażowana z połową października i natychmiast skierowana na dwutygodniowy kurs przygotowawczy do WUBP w Opolu. Pracę rozpoczęła więc właściwie 1 listopada 1961 roku. Tak się zdarzyło, że właśnie tego dnia zszedłem na parter do biblioteki na jakąś rozmówkę z kierowniczką, moją rówieśniczką pod względem wieku ale przewyższającą mnie znacznie stażem w "kulturze" /absolwentką bibliotekarskiego liceum w Krakowie, w 1956 roku podjęła pracę w PUMB w Strzelcach Opolskich, gdzie otrzymała nakaz pracy/. Kierowała biblioteką już od 1953 roku. Po zaledwie dwóch latach pracy mianowano ją szefem powiatowej instytucji. Wywiązywała się z tego zadania nienajgorzej. Mimo to dopiero razem ze mną otrzymała mie-

szkanie w tym samym bloku i mieszkam na daleko. Współpraca między nami jako kierownikami placówek układała się na ogół dobrze, chociaż trudno mówić o jakichkolwiek wspólnych ofensywach czytelniczo-oświatowych.

Zupełnie dobrze natomiast wyglądały nasze koleżeńskie stosunki a ich dowodem były wzajemne pożyczki "do pierwszego", przy czym częściej potrzebującą stroną byłem ja. Wtedy chyba właśnie zszedłem oddać dług. Miałem ich zawsze sporo. Najczęściej z pensji zostawało mi kilkaset złotych, musiałem więc znowu pożyczać, na pierwszego oddawałem i tak w kółeczko. Wtedy pamiętam, po uregulowaniu wszystkich należności zostało mi niepełne 200 złotych. Starczyło więc jeszcze na kawę i zaprosiłem na nią do naszego klubu kierowniczą i nową pracownicę biblioteki, która była świadkiem naszej rozmowy. Przyznaję, że głównie o nią mi chodziło, nie mogłem jednak przyjąć, wziąć "smarkulę" i powiedzieć: chodź na kawę. Było to ostatniego października. 2 listopada znowu poszedłem do biblioteki, niby z jakąś sprawą, po jej "załatwieniu" stwierdziłem, że miałbym ochotę iść na kawę ale nie mam za co, tu dałem "dziewczęciu" do zrozumienia, że wśród ludzi dorosłych istnieją takie zwyczaje, że zaproszeni rewanżują się zaproszeniem. A ■■■ była "pojęta" więc ponoc ze złością na moją bezczelność zaprosiła mnie na wyproszoną kawę. "Pedekowaka" kawiarnia przed południem była nieczynna, rewanż musiał nastąpić wieczorem a o to mi przecież chodziło. O umówionej godzinie przyszła, okazało się, że zostawiła samą w domu pięcioletnią siostrzyczkę, ale poczucie dorosłości było silniejsze od wszystkiego innego. Wypiliśmy kawę, wyjęła dumnie jedną z pierwszych zapracowanych "stówek" i chciała płacić. Oczywiście nie pozwoliłem na to i tak rozpoczął się kolejny etap w moim życiu.

Rodzice A ■■■ niezbyt żaskawie na to patrzyli.



Do jej matki doszły jakieś plotki o tym, że jestem senaty, że gdzieś zostawiłem żonę i dzieci. Pomyślono mnie tu z kimś innym, bo byłem kawalerem "z krwi i kości". Powodowało to trochę szumu, trochę niepotrzebnego podniecenia. Zdożyłem się na "męską" odwagę i poszedłem do domu A■■ na rozmowę z jej rodzicami w celu wyjaśnienia wszystkich plotek i niedomówień. Trenę miałem większą niż przed największą widownią. Wynik wizyty całkowicie mnie zadowalał. Szczególnie dobrze wówczas wyglądały nasze stosunki z ojcem A■■. Pochodził z Zagłębia, z Dąbrowy Górniczej, gdzie A■■ się urodził. Zaraz za frontem w styczniu 1945 roku przyjechał do Strzelca z dużą resztą grupą Zagłębiaków, którzy wzięli w swoje ręce ster władzy w wyzwolonych Strzelcach. Ojciec A■■, PPR-owiec pracował w Komitecie. Był instruktorem, sekretarzem, kiedyś wrócił do domu amasakrowany przez nieznaną sprawców. Pracował jako zaopatrzeniowiec w przedsiębiorstwie budowlanym a następnie przekwalifikował się na robotnika w miejscowej fabryce maszyn rolniczych. Stare partyjne doświadczenia powodowały, że interesował się aktualnymi problemami politycznymi i w ten sposób znalazł platformę do porozumienia nie tylko w sprawie polityki ale również w sprawie...

Na wiosnę A■■ wyjechała na dwumiesięczny kurs bibliotekarski do Jarocina. Odczuwałem tęsknotę ale jednocześnie ten wyjazd był mi trochę na rękę. Mogłem nadgonić pewne zaległości w pracy wynikiem z czasu poświęcanego A■■.

W czerwcu 1962 roku otrzymałem telegram u domu wzywający mnie do natychmiastowego przyjazdu. Ciężko chory był ojciec. Wziąłem urlop i ...A■■ i pojechaliśmy do Krotoszyna. Dokładnie nie wiedziałem wówczas jaki jest stan zdrowia ojca. Nie znała go również matka. Spotkanie z ojcem zrobiło na mnie niezwykle przykre wrażenie. Z potężnego chłopa została skóra i kości.

Nie mógł o własnych siłach podnieść się na łożku. Wezwałam lekarza. Przeszedł i stwierdził, że jego interwencja jest zupełnie niepotrzebna. Pojechałem do szpitala w Poznaniu i dowiedziałem się, że to ostatnie stadium raka płuc.

Byliśmy w Krotoszynie kilka dni. W parę dni po powrocie otrzymałem telegram o śmierci ojca. Byliśmy na pogrzebie. Wcześniej już ustaliliśmy z A■■■■, że we wrześniu weźmiemy ślub. Termin nie uległ zmianie mimo śmierci ojca.

Nie miałem zamiaru dawać nikomu okazji do wielkiej zabawy. Podobnie jak kilka miesięcy wcześniej "wesele" kierowniczk biblioteki, również nasze miało odbyć się w "pedekowski" klubie. Miało to być krótkie spotkanie przy kawie i lampce wina najbliższych krewnych i przyjaciół. Z tym nie chciał się godzić ojciec A■■■■. Twierdził: mam jednego syna i dwie córki i wszyscy będą mieli wesela jak polska tradycja nakazuje. Nie ustępowałem. A■■■■ była między mną i kowadłem. Dochodziło do rozmów w wysokim tonie. Ostatecznie zwyciężyło moje stanowisko. Ojciec A■■■■ nie mógł przeboleć chyba tego najbardziej, że "rozstanie się" z córką na obłą jakims winem a nie jak "trzeba" bardziej ognistym trunkiem.

Ślub wyznaczono na 1 września na godzinę 17,00. Rodzice A■■■■ znani byli w mieście i nasz ślub urastał do rangi wydarzenia. I ja przecież już też byłem dość znaną postacią a takie "znajome" śluby zawsze znajdują kibiców. W sobotnie popołudnie zebrało się przed kościołem sporo gapiów. Byli zdziwieni niepunktualnością, potem zawiedzeni a wreszcie uradowani super sensacją: ślub został zerwany!

Tymczasem przed ratuszem, w którym mieścił się Urząd Stanu Cywilnego nie było nikogo, musiałem się tylko butelką wódki "wykupić" grupie pracowników Prezydium, którzy bez tego nie otworzyli drzwi ratusza. Ceremonia trwała krótko i zajęliśmy prezydiatną "warszawę" daną mi jako "prezent" od z-oy przewodniczącego na cały dzień do dyspozycji, pod dom kultury.

Nikom z gościów nie przyszło do głowy, że ślub nie musi się odbywać w kościele. Oczywiście gładko to też nie przeszło. Moja matka nie przyjechała. Wynówiła się chorobą. Miała śal do mnie, że łamię tradycje rodzinne. Ojciec A■ nie zwracał na to żadnej uwagi. Trudno nawet powiedzieć, czy jest wierzący czy nie. Na pewno nie jest praktykującym. Matka A■ to znówu coś innego. Jest członkiem Partii, zwykłym, szeregowym i jak większość jest jednak wierząca. Nie na tyle jednak by fanatycznie domagać się, albo ślubu kościelnego albo zerwania. Owszem, rozmawialiśmy na ten temat, znacznie zresztą wcześniej i wtedy już, podobnie jak A■, oświadczyłem, że moje przekonania nie pozwalają mi brać ślubu w kościele i stanowiska z żadnych przyczyn nie zmienię. A■ godziła się z tym, matka jej również, chociaż z pewnym do mnie żalem. Jej najbardziej chodziło o opinię miasteczka. A opinia ta nie oceniała małżeństwa według kryteriów takich jak miłość, szacunek, dobre pożycie ale według dywanów i ilości świec na ołtarzu w czasie ślubu.

W czasie przyjęcia przeprosiłem gości, że nie będzie tańców /chciała grać pedekowska orkiestra, co miało być od niej prezentem dla nas/ ale pamięć ojca nie pozwalała na to. Gości było więcej niż przypuszczałem. Teść nie wytrzymał i "przeżył" sporą ilość wódki. Zresztą po zakończeniu przyjęcia w kawiarni pedekowskiej zaprosił większość gości do siebie do domu, gdzie odbywało się dopiero "właściwe" wesele. Wypito od dawna przygotowane wiaderka wódki, zjedzono wszystkie przez teściową przygotowane kurczaki i zabawa trwała do białego rana. Ale już bez nas. Bezpośrednio z pedeku udaliśmy się do naszego mieszkania czyli mojej kawalerki.

A■ zaczęła się wczuwać w rolę gospođyni domu. Stołowała się dotąd w restauracjach. Teraz przeszedł na domowe obiady. Najlepiej wychodziły jej befsztyki angielskie, były więc w tygodniu cztery do pięć razy. Nie muszę dodawać, że nie mogę patrzeć na nie do dziś, chociaż wtedy dla zrobienia jej przyjemności z "apetytem" zjadałem wszystkie. Z ulgą więc przyjąłem wiadomość o kolejnym wy-

jechać na dwa miesiące do Jarocina. Mogłem rozpocząć od befsztyków.

Nasz gospodarski start nie był zbyt udany. Brak doświadczenia A. brak przywiązania do "dóbr doczesnych" u mnie powodowały, że nie bardzo umieliśmy gospodarzyć pensjami. Wchodziliśmy zresztą w nowe życie z obciążonym kontem. Nawet to skromne ślubne przyjęcie finansowane było za pożyczone pieniądze, chociaż nie ten fakt decydował o skromności. Pożyczkę trzeba było spłacać, ambicja "samodzielnego" nie pozwalała mi przyjąć "posagu" dla A. Teściowa miała o to straszne pretensje, chciałem być jednak naprawdę samodzielny i niezależny. Teściowie posiadają piękne i duże mieszkanie. Oferowali zamieszkanie u nich. Nie chciałem, wychodząc z założenia, że lepsze ciasne ale własne.

Długi jednak zamiast maleć, okresami, po niezbędnych zakupach, niebezpiecznie wzrastały i sięgały sumy do 15 tysięcy złotych. Stosowaliśmy już teraz wspólnie moją kawalerską metodę: jednemu oddaj od drugiego pożycz. Sytuacja materialna nie wpływała w żaden sposób na małżeńskie układy. Były, przecież to zgodne z naturą "szczęścia małżeńskie", drobne i większe nieporozumienia, szybko łagodzone i jak mówią doświadczeni w tej dziedzinie mędracy, potrzebne w małżeństwie jak sól w rosole.

## VII. REMONT

---

---

Dom kultury mieścił się w starej kamienicy. Wydział Architektury, Urbanistyki i Budownictwa Prezydium PRN wydał nakaz sankcjonacji pierwszego piętra i drugiego. Na pierwszym piętrze mieściła się wypożyczalnia biblioteki. Stropy groziły zawaleniem.

Zamknięcie pomieszczeń równało się ograniczeniu działalności PDK i podstawy biblioteki, jaką jest przecież wypożyczalnia. Odwołaniem się od tej decyzji do odpowiedniego wydziału ale o "piętro" wyżej czyli przy Prezydium WMN. Przyjechali eksperci i ....zmie-nili decyzję wydziału powiatowego, zmieniając jej brzmienie z "w okresie trzymiesięcznym" na "natychmiast".

Mówiło się wtedy w Strzelcach o budowie nowego domu kultury. Była już lokalizacja. Nie było pieniędzy. Próbowano lansować projekt adaptacji na PDK pomieszczenia po byłej oficynie zamkowej, w którym znajdowała się fabryka mebli. I ten projekt nie przeszedł. Został remont budynku. Ale remont już nie "dla remontu" a taki, który wystarczy na kilkadziesiąt lat. Ale i na to nie było środków.

Wypadało zamknąć dom kultury, zająć się inną pracą lub przenieść do innego miasta.

Nakaz architektów mnie zobowiązywał do jego realizacji i na mnie spadała odpowiedzialność za ewentualne skutki jego nieprzestrzeżenia. Zaryzykować. A nuż nie się nie stanie...

Biblioteka była czynna nadal, z tym że odciążono trochę stropy zmniejszając stan księgozbioru w wypożyczalni. Tymczasem starałem się o środki na remont. Niestety, bezskutecznie.

Decernentem do spraw kultury w Prezydium PWN był wówczas zastępca przewodniczącego, wielki sympatyk kultury i jej "patron", którą to rolę przejął po byłym przewodniczącym przeniesionym w grudniu 1960 roku do innego powiatu.

Zastanawialiśmy się wielokrotnie jak wybrnąć z sytuacji. Wreszcie zapadła decyzja. Pod koniec grudnia 1962 roku zastępca przewodniczącego poprosił do siebie dyrektora MPHE. Uczestniczyłem w tym spotkaniu.

- Dyrektorze, od pierwszego stycznia wchodzić na budowę w domu kultury. Kapitałny remont głównego budynku. Koszt według kosztorysu milion z nakiem - stanowczym głosem, jak zawsze

zresztą, komunikował przewodniczący.

- Dokumentacja jest? - spytał dyrektor

- Jest budowlana i wodno-kanalizacyjna. Robi się elektryczna - odpowiedziałem

- Pieniądze są? - znowu spytał dyrektor

- Dyrektorze, ja was pytam czy macie cegły? - zaripostował przewodniczący.

- No a zlecenie ... - bronił się dyrektor

- Zlecenie otrzymacie wtedy, gdy wyrazicie zgodę na pracę - spokojnie mówił przewodniczący - a ponadto, gdy zobowiązacie się, że remont zostanie skończony w ciągu roku.

- Mam zabezpieczony portfel - bronił się dyrektor

- Nie znam człowieka, który by portfela nie chciał dopełnić - przerwał mu przewodniczący

- Ale tu chodzi o portfel zleceń - wyjaśnił dyrektor

- Wiem, wiem, ale dom kultury musi być wyremontowany i musicie już dyrektorze zmienić portfel, jeśli do tego co macie się nie nie zmieści - przewodniczący panował nad sytuacją - poza tym, na okres remontu, a będzie to dla nas gwarancją szybkiego wykonania, przyjmiecie do siebie, do waszej świetlicy zakładowej, wypożyczalnię biblioteki...

- Ale nam świetlica potrzebna ...

- A biblioteka miastu nie?

Świetlica jest na terenie zakładu ...

- Jest w naszym biurze, wejście od ulicy, nikt wam nic nie wyniesie, w każdym razie jeśli to będą cegły to te książkowe a nie z gliny. A więc zakatwione. Za parę dni zaczną przewozić książki.

W grudniu opróżniliśmy budynek. Wszystko co znajdowało się w kilkunastu pomieszczeniach zostało ułokowane w piwnicach pod salą widowiskową, która nie była przewidziana do remontu i w

dwóch garderobach. W jednej urządziliśmy swój "warezamt pracy" to znaczy biuro kierownika, sekretariat, pokój instruktorów, magazyn podręcznego sprzętu. W drugiej zlokalizowali swoją pracownię członkowie amatorskiego klubu filmowego. Zawieszona została działalność niektórych zespołów, inne ulokowane w świetlicy zakładowej fabryki maszyn rolniczych. Biblioteka przewoziła swój dobytek do świetlicy MPR-B. Budynek był gotowy do remontu. Nie było tylko nadal ... środków finansowych na jego opłacenie.

W pierwszych dniach stycznia budowlani rozpoczęli rozbiórkę od dachu po parter. Niewiele zostało z dawnego budynku. Zlecenie zostało dane bez pokrycia. W marcu wpłynął pierwszy rachunek z MPR-B. Opiewał na sumę ponad 100 tysięcy złotych. Nie było czym płacić. Remont jednak trwał. Przerwać go nie można. Groziła się awantura. Otrzymaliśmy z zastępcą przewodniczącego solidne "lanie" ale również pieniądze. Pomógł najpierw sumą ponad 300 tysięcy SPOSiK, później coś się wykroiło z nadwyżki budżetowej Prezydium WZM. Było to jednak za mało na całkowite pokrycie kosztów. Remont przeciągał się. w 1964 roku otrzymaliśmy dotację około pół miliona z Wydziału Kultury P WZM. Koszty remontu jednak rosły. Wynikało to ze zmian w dokumentacji. Chciałem urządzić dom według najnowszych wytycznych, nawet z "kilkuletnim wyrostem". Budynek nabierał pięknej, zupełnie nowoczesnej sylwetki a jego rozwiązania funkcjonalne podporządkowane były całkowicie nowym planom działalności, odpowiadającym nowym zadaniom stawianym domom kultury. Zgromadzono już ponad dwa i pół miliona złotych, byliśmy wypłacalni, niestety, przedsiębiorstwo robiło sobie kilkutygodniowe lub nawet kilkamiesięczne przerwy. Tradycyjnie w lipcu i sierpniu nie było na budowie ani jednego pracownika. Remontowali sokoły. Władze powiatowe nie umiały jakoś egzekwować od firmy nakazanych terminów ukończenia remontu.

Oczekałem na ten moment w podwójnej roli. Jako kierownik "pedelu" i jako przyszły mieszkaniec budynku. Na trzecim, nowym

w porównaniu do starego budynku, pięć trze znajdowały się dwa mieszkania. Jedno przewidziane dla woźnego, drugie dla kierownika. Były to mieszkania ładne, takie jakich już nie znajdowało się w blokach mieszkalnych, nawet spółdzielczych.

Zacząłem się niecierpliwić. Spodziewaliśmy się potomka. Moja kawalerka wystarczała na dwoje, na troje była jednak za mała.

Remont strzeleckiego domu kultury był dobitnym przykładem tak bardzo niedawno krytykowanej zasady inwestycyjnej: najgorzej zacząć, potem już jak oś to będzie. Jakoś to było, po partyzancku, wielka improwizacja. Czy jednak mam wyrzuty sumienia? Nie. Inaczej nie wiem czy do dziś znalazłoby się owe ponad dwa miliony złotych na zabezpieczenie remontu, odkładano by go z pięciolatki na pięciolatki, miasto zostałoby pozbawione jedynej placówki kulturalnej a może, tego wykluczyć nie można, doszłoby do tragedii. Przecież przez rok po wydaniu decyzji o n g t y c h m i a s t o w y m zamknięciu budynku był on czynny. Ryzykowałem już nie tylko odpowiedzialność za skutki ale ryzykowałem ludzkim zdrowiem a może i życiem. Przecież gdyby remont się nie rozpoczął biblioteka czynna byłaby nadal. A dżban tak długo wodę nosi...

#### VIII. AKCJA OŚWIATOWA

---

Na trwałe w pamięci zapisał się maj 1963 roku.

Ostrymałem wreszcie do PDK wymarzoną "nysę". Przez nią jednak doszło do nieporozumień z kierownikiem Wydziału Kultury P PRN, który czynił wszystko, aby "nyska" była w jego dyspozycji a nie domu kultury. tłumaczyłem mu: jeśli wydziału, to znaczy prezydium, czyli i wydziału handlu i rolnictwa i skupu i zdrowia. Wtedy "kultura" przy wielkim świącie od czasu do czasu też go na godzinę dostanie.



Chciałem, aby samochód był do wyłącznej dyspozycji placówek kulturalnych. Stanął problem do rozstrzygnięcia na posiedzeniu Prezydium. "Wygrałem" w stosunku 3:2.

Rezultat był taki, że kierownik wydziału przez kilka miesięcy nie wsiadł do naszego samochodu a nawet jeśli musieliśmy razem jechać w teren, to ja jechałem w samochodzie a on przed nami lub za nami ujeżdżał swoją WPM-kę. Było to śmieszne, ale co miałem poradzić.

Tegoż naja przeżyłem dramatyczne dni "młodego honkosia".

Nagle zaniemogła żona.

Po operacji wracała jednak szybko do zdrowia i po dalszych dwóch tygodniach wróciła na rekonwalescencję do domu. Miałem w tym czasie jechać na trzytygodniowy kurs kierowników domów kultury gdzieś w okolicy Wałbrzycha. Ze względu na stan zdrowia żony wynigąłem się z tego. Nie darowano mi kursu. W lipcu miałem jechać na podobny do Lublina, przeznaczony dla kolegów z województw lubelskiego, rzeszowskiego, kieleckiego i białostockiego. A więc zapewne inne doświadczenia. Kurs bardzo mi się przydał. Szczególnie wizyta w Lubartowie, skłynącym wówczas w kraju z szerokiej akcji oświatowej w placówkach wiejskich. W lipcu mogliśmy oglądać dokumentację. Śniwa to nie okres odczytów i wykładów uniwersytetów powszechnych. Nie wierzyłem we wszystko co było wypisane w dziennikach placówek i w to co mówił nam na spotkaniu sekretarz zarządu miejscowego WMP. Przecież i u siebie próbowaliśmy organizować od czasu od czasu odczyty na wsi i żaden właściwie nie odpowiadał wymogom. Albo ludzie nie przyszli i ekonomista mówił o wielkich sprawach gospodarczych z dzieciarnią z trzeciej klasy podstawówki, albo prelegent nie dojechał, albo w świetlicy było zimno, albo był w niej akurat mecz ping-pon-gowy lub mecz w telewizji. Zawsze jakiś powód, żeby odczyt jeśli już zrobić to odfajkować i zainkasować pieniądze przez prelegenta.

Nie wierzyłem więc w te setki udanych odczytów we wsiach

lubartowskich. Ot po prostu coś tam robią, dorabiają do tego legendę powszechnej akcji oświatowej, cieszącej się dużym zainteresowaniem mieszkańców wsi. Niejedną już taką akcją reklamowano a po dokładniejszym się jej przyjrzeniu okazywało się, że rzeczywiście wielkie były zamierzenia, napotymano jednak na trudności w realizacji, efekty były znacznie mniejsze niż przewidywano ale trudno było się do tego przyznać i w świat szły fikcyjne wyniki. Tak traktowałem i lubartowską pracę oświatową na wsi. Zresztą, po kursie szybko o niej zapomniałem.

Przypomniał mi artykuł w "Trybunie Opolskiej" chyba z września informujący o eksperymentalnej akcji oświatowej przeprowadzonej przez Wydział Kultury WRM w trzech powiatach Opolszczyzny. Miała to być kompleksowa ofensywa oświatowa: odczyty, uniwersytety powszechne, projekcje filmów oświatowych, wystawy organizowane w kilkunastu ośrodkach wiejskich w powiatach opolskim, namysłowskim, głubczyckim przez specjalnie do tego celu wyposażone powiatowe domy kultury /Głubczyce i Namysłów/ i powiatową poradnię instrukcyjną-metodyczną w Opolu. Cała akcja finansowana była przez Wydział Kultury w Opolu.

Ambicji nigdy mi nie brakowało i trochę zabolalo mnie, że wśród trzech, w jakimś sensie przecież wyróżnionych powiatów nie było strzeleckiego. Dlaczego jednak nie miałbym też próbować? Podliczyłem moje atuty: samochód, lubartowskie doświadczenia skrupulatnie studiowane teraz z kursowych notatek, pieniądze pochodzące z dość poważnych oszczędności w budżecie, wynikającym z zawieszenia działalności "rodowiskowej". Do atutów wliczałem tu również brak ryzyka - mogło mi się udać lub nie. Jeszcze ważniejsze było to, że akcję mogłem prowadzić według własnego pomysłu i programu. Te atuty nie przesądzały z góry pomyślnego rezultatu. Było znacznie więcej trudności: brak kadry prelegencyjnej, brak partnerów, nieznaną konieczność zapotrzebowania tematycznego "rodowiska", nieistnienie rzeczy

tak podstawowej jak nawyk chodzenia do świetlicy przez mieszkań-  
ców wsi. Do odważnych jednak świat należy. Decyzja zapadła.

W ogólnym zarysie miałem już koncepcję naszej "akcji". Po-  
szedłem z nią do sekretarza ZP TWP, którym był zastępca prokura-  
tora powiatowego. Wysłuchał mojej wizji z uwagą, nie przeszkadzał  
w jej przedstawieniu i ... zaśmiał się:

- Drogi kierowniku, robimy odczyty "tesupowskie" w zakładach  
pracy, dyfektor od maszyn ludzi do świetlicy "ciąga, zsa biurk  
wygania i ledwo mamy frekwencję, a pan dla kogo chce robić na wsi?  
Milicjanci będą z domów słuchaczy przyprowadzali? Plan ładny, opa-  
tentować i wsadzić do szuflady....

Uratowałem prawdopodobnie kilku przestępców przed rozmową  
z prokuratorem w tym dniu. Gadaliśmy długo, on swoje, ja swoje, tym  
razem już Lubartów był argumentem, że... jak się chce to można, do  
usłyszanym tam rzeczy dołożyłem jeszcze trochę o siebie i ...mia-  
łem pierwszego partnera.

Z ponad setki prelegentów figurujących na liście ZP TWP wy-  
braliśmy około dwudziestu, którzy odpowiadali nam tematyką swoich  
odczytów, fachowością, obowiązkowością. Do sporządzonej listy do-  
łożyliśmy jeszcze kilkanaście nazwisk spoza TWP i tych około 30  
osób : lekarzy, prawników, nauczycieli różnych dziedzin, inżynie-  
rów i innych, zaprosiliśmy na spotkanie.

Przywitali prawie wszyscy. Wyjaśniłem o co chodzi, przedstawi-  
łem nasz plan, zaproponowałem im udział w akcji jako stałej grupie  
lektorskiej. Wyraziło zgodę około 20 osób. Podali im po kilka swo-  
ich tematów, wolne stałe dni od wieczornych zajęć. Była więc już  
załatwiona druga sprawa. Teraz odbyliśmy z sekretarzem TWP rajd  
po powiecie "szlakiem GS-ów". Z niezählymi kłopotami podpisanym  
zostało siedem umów TWP z Gminnymi Spółdzielniami o prowadzenie  
w wiejskich klubach przez TWP uniwersytetów powszechnych, finanso-  
wanych przez spółdzielnie. Kolejny etap to studiowanie katalogów

Centrali Filmów Oświatowych "Filmos" i nawiązanie z tą instytucją stałych kontaktów.

Po przygotowaniu akcji w "ośrodku dyspozycyjnym" czyli u nas, ruszaliśmy na świad placówek. Wybraliśmy początkowo 16 wiejskich świetlic i klubów i na nie nastawiliśmy się przy programowaniu imprez oświatowych. Jeszcze tylko został wydrukowany odpowiedni zapas "ślepych" afiszów i można było przystąpić do szczegółowego planu na pierwszy okres obejmujący połowę listopada i grudzień.

Sporządziłem go na trzech sklejonych z sobą arkuszach kancelaryjnego papieru i kolejno obejmował w rubrykach : datę, wieś, godzinę, tytuł wykładu uniwersytetu powszechnego lub odczytu, prelegenta, tytuły filmów ilustrujących odczyt lub inne formy towarzyszące słowu jak przezroczka, nagrania magnetofonowe, wystawki książkowe, plansze itp.

Wyglądało to rzeczywiście okazale. Koss więc dlatego nikt nie wierzył w realizację, mało, i ja miałem chwile wątpliwości. Staraniem się ich jednak nikomu nie okazywać.

13 listopada 1963 roku we wsi Szczepanek zainaugurowaliśmy naszą "akcję". Był to odczyt inżyniera z miejscowej /strzeleckiej/ Fabryki Maszyn Rolniczych "Pionier" na temat "Konservacja maszyn rolniczych na zimę". Tego samego dnia odbył się jeszcze odczyt lekarza we wsi Łaziska. Obie imprezy udały się, kluby nie mogły pomieścić wszystkich chętnych, były ciekawe dyskusje. Podbudowało to nas bardzo. Następnego dnia w Rozmierzu udało się znowu a w Grodzisku niestety "frekwencja nie przyszła". Nie planowaliśmy tam filmu. Kolejnego dnia znowu - tam gdzie film, frekwencja duża, w drugiej wsi, gdzie filmu nie było w zapowiedzi, owszem, odczyt odbył się, ale przy małym zainteresowaniu środowiska. Postanowiliśmy więc zwiększyć ilość projekcji.

Mieliśmy jeden projektor i jedynego operatora, którym stał się jedyny wówczas zatrudniony w PDK instruktor - G. [REDACTED]. Wspólnie z nim doszliśmy do wniosku, że można projekcje organizować w dwóch wsiach dziennie. W pierwszej przed prelekcją w drugiej po niej. Wyglądało to tak - dla przykładu zapowiedziane były imprezy w dwóch obok siebie leżących wsiach Jemielnicy i Piotrówe. Zabieraliśmy ze Strzelec prelegentów. W Jemielnicy wysiadł Czesiek ze swoją aparaturą i prelegent mający wygłosić tam odczyt. Drugi prelegent mający wygłosić odczyt pojechał do Piotrówe. I gdy w Jemielnicy rozpoczyna się projekcja filmów on tam rozpoczyna odczyt. Po wyświetleniu filmów G. [REDACTED] przy pomocy kierowcy, który w międzyczasie wrócił z Piotrówe, zwinęli sprzęt, załadowali do samochodu. Lektor z Jemielnicy rozpoczyna odczyt a ten w Piotrówe go kończył i natychmiast po nim wracał do akcji Czesiek ze swoimi filmami.

Po jakimś czasie doszliśmy do tego, że jednym projektorem obsługiwaliśmy dziennie trzy wsie, a w ogóle imprez odbywało się po 5-6 dziennie. Byłem w terenie pięć razy w tygodniu. Od poniedziałku do piątku. / W soboty i niedziele nie jeździliśmy z odczytami/. Powiat podzielony został na pięć tras. Dla przykładu we wtorki odbywaliśmy zawsze wizyty na trasie tak zwanej Łądowickiej, obejmującej wsie: Szczepanek, Jemielnica, Piotrówek, Łazińska, Barut, Łądowice, Kielcza. W niektórych z nich, tam gdzie działają uniwersytety byliśmy gośćmi każdego tygodnia, w pozostałych co drugi tydzień.

Podobnie było na innych trasach. Było to bardzo dla nas i dla naszych odbiorców wygodne. My mogliśmy z łatwością dowozić jednym samochodem kilka prelegentów dalekimi. Mieszkańcy wsi wiedzieli, że w poniedziałek czy środę, zależnie od trasy, będzie u nich w świetlicy "coś ciekawego".

Szło wszystko jak z płatka. Ponad 90 procent planowanych imprez dochodziło do skutku. Podbudowało to prelegentów. Bali się marnotrawienia czasu na niepotrzebne wyjazdy. Gdy się okazało, że mają słuchaczy, przykładali się solidnie do pracy, robili wszystko aby uatrakcyjnić swoje wykłady. Staraliśmy się im w tym pomagać. Poznałem wszystkie tematy "w produkcji". Kolejno wysłuchiwałem jednego po drugim naszych lektorów, dyskretnie notowałem sobie uwagi i po odczycie im je przekazywałem. Podobnie robił sekretarz ZP ZWP. Obaj pełniliśmy ponadto rolę "pogotowia ratunkowego". Czasem zdarzało się, że któryś z prelegentów w wyznaczonych na odpowiedni dzień z ważnych przyczyn w ostatniej chwili zawiadamił nas, że nie może dziś jechać. Wtedy albo prokurator albo ja go zastępowaliśmy. Oczywiście, o ile miał to być lekarz nie próbowaliśmy stać się znachorami, tylko po przeproszeniu słuchaczy za nieobecność zapowiedzianego w afiszu lekarza, proponowaliśmy im jeden z tematów z naszego "repertuaru". W ten sposób nie dochodziło nigdy do najgorszej z najgorszych sytuacji, że zebrani mieszkańcy wsi musieli się rozjechać z uczuciem oprawionego im zawodu. Mieli do nas zaufanie i staraliśmy się go nie zawieść.

Bywało, że zawiadaliśmy się sami. Były, chociaż bardzo rzadko niewypały. Zależnie od sytuacji próbowaliśmy albo ratować odczyt albo rezygnować z niego. A formy ratunku były bardzo różne. Grałem na przykład w ping-ponga z mistrzem miejscowego LKS-u, który po jego przegraniu udał się do po sąsiedztwu ze świetlicą usytuowanej gospody i "całą jej zawartość" oddał do dyspozycji zapowiedzianego na ten dzień lekarza.

Czasem zastawaliśmy w świetlicy czy coraz popularniejszym na wsi klubie wyłącznie dzieci, szczególnie w tych wsiach gdzie na afiszu zapowiadano projekcję filmów. Wiele do nich były adresowane nasze imprezy. Woziliśmy więc zawsze z sobą jedną taśmę filmową z bajką. Wyświetlaliśmy dzieciom bajeczki, i rozsyłaliśmy na wieś aby zawiadomili rodziców i sąsiadów o odczycie. Zdarzało się to jednak

głównie na początku naszej akcji. Później dziesięć "wici" nie było już potrzebne.

Kolejno z "akcji" wysiadały wytypowane przez Wydział Kultury powiaty. My nie tylko trzymaliśmy się, ale nabieraliśmy rozmachu. Co miesiąc dotaczałem do planu 2-3 nowe wsie. Ostatecznie rok kulturalny kończyliśmy szczerze wypracowanym sukcesem. Mieszkańcy byli zadowoleni. My - realizatorzy z tego, że nasz wysiłek procentował w coraz lepiej rozwijającym się "życiu kulturalnym" strzeleckiej wsi, jej mieszkańcy z ciekawej dla nich formy informacji i, wcale to nie za duże show, nauki, - władze wreszcie z pchnięcia naprzód jednej z dziedzin społecznego życia.

A dodać tu trzeba, że największym sukcesem działalności oświatowej były nie same odczyty, ich jakość i ilość. Ważniejsze było to, że dzięki imprezom oświatowym nauczyliśmy ludzi uczestniczyć do placówek kulturalnych, że w wielu klubach głównie przy moim udziale, rady społeczne umiały korzystać ze zwiększonego napływu ludzi do klubów i początkowo nieśmiało, później coraz odważniej rozszerzały swą działalność. Powstało wówczas kilka nowych zespołów artystycznych, kilka zawieszonych w pierwszym okresie telewizyjnego społeczeństwa teraz zostało reaktywowanych. Coraz też częściej w klubach się po prostu bawiono. A przecież to tylko rok solidnej pracy powiatowej placówki...

Przez kilka dni nie było mnie w Strzelcach. Wybrany zostałem na Zjeździe Wojewódzkim WPP delegatem na Zjazd Krajowy. Wyjechałem w piątek rano. Zjazd odbywał się w sobotę i niedzielę. Wróciłem późno wieczorem w niedzielę a w poniedziałek rano wyjechałem do Katowic do telewizji. Opolski zespół dziennikarzy radiowych i prasowych opracowywał wówczas nadawany dwa razy w miesiącu z Katowic magazyn telewizyjny "Na Opolskiej Ziemi". Właśnie do udziału w jednym z nich zostałem zaproszony i oczywiście z dużą satysfakcją zaproszenie przyjąłem. Ekipa jechała samochodem, musieli przejeżdżać

przez Strzelce, więc po drodze mnie zabrali. Po całodziennych próbach, po których już nie się nie chciało, pod wieczór szła audycja, w której redaktor przez 3 minuty rozmawiała ze mną o naszej działalności oświatowej. W trakcie rozmowy wspomniano również o przeciągającym się remoncie budynku domu kultury. Na zakończenie rozmowy pokazano fragment filmu zrealizowanego przez nasz AKF pt "Zimowe Spotkania". Wróciłem do Strzelc wieczorem i następnego dnia znowu wyjazd, tym razem na jakąś naradę w KW PZPR w Opolu.

... Robiliśmy dalej "akcję", ja teraz więcej czasu spędzałem na posiedzeniach rad klubów coraz aktywniej sobie poczynających. Praca na wsi została rzeczywiście świetnie rozkręcona i niezależnie od powodów do dumy, nie nadążaliśmy z coraz to nowymi formami współpracy z klubami, przez nie do nas zgłaszany. Nareszcie czuliśmy się potrzebni.

... Na początku lutego Wydział Kultury P ZPN w Opolu zaskoczył mnie propozycją objęcia przeze mnie stanowiska dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury w Opolu. Sama propozycja była dla mnie wyróżnieniem ale na tym też się sprawa skończyła. Odmówiłem. Po pierwsze bałem się, że nie mając wyższego wykształcenia długo miejsca tam nie zagrzeję, po drugie obliżał się już wreszcie koniec remontu "peleku" w Strzelcach i po ustawieniu sobie pracy terenowej chciałem na wysokim poziomie postawić też pracę w środowisku miejskim a szanse ku temu otwierały się jak nigdy dotąd, po trzecie wreszcie w Opolu nie gwarantowano mi mieszkania wcześniej niż za dwa lata a na dniach miałem zostać ojcem. Moja kawalerka na trzy osoby była już jednak za ciasna, szczególnie przy charakterze mojej pracy, kiedy długo trzeba czasem posiedzieć w nocy nad książką czy przy innej pracy. A w Strzelcach miałem zagwarantowane mieszkanie w budynku POK. Miałem dopiero 27 lat. Dyrektorski fotel jak będzie miał być - myślałem - to i tak będzie, co się odwlecze to nie uciesze.



Okres ten miał jeszcze inne ujemne aspekty. Ona robiła mi coraz częściej wymówki, że nie ma mnie całymi dniami w domu, że musi siedzieć sama, że co w końcu z tego ma i mamy, że pracuję od rana do późnej nocy, że ja wyjeżdżam a ona nie ma nawet telewizora. Przedtem często zabierałem ją z sobą wieczorem na wieś, wygłosiła nawet trochę odczytów na temat sposobów korzystania z książki i służby bibliotecznej w Polsce, była więc wciągnięta niejako w nasz młynek. Teraz ze względu na rychłe narodziny potomka nigdzie już jechać nie chciała i nudziła się sama w domu. Jediną rozrywką dla niej były odwiedziny u swojej kierowniczkę, mieszkającej z mężem wyżej i gra w "tysiaca".

IX. I

W środę 24 lutego jak zwykle późno wróciłem z terenowych wojaży. Ona tym razem w naszym mieszkaniu, grała w "tysiaca" z sąsiadami z góry. Dołączyłem się jeszcze na kolejną partyjkę i już po północy położyliśmy się spać. Około szóstej rano A obudziła mnie twierdząc, że ma "ból". W tym okresie to ponoć normalne i kazałem jej spać dalej. Okazało się jednak, że nie takie normalne i zostałem zobowiązany najpierw do głównego odczytania odpowiedniego rozdziału "Podręcznika małżeństwa" H. i A. Stone a po okazaniu się, że i to nie wyjaśnia problemu, do udania się do A koleżanki mieszkającej w sąsiedniej klatce, matki dwojga dzieci a więc osoby w porodowych zawikłaniach doświadczonej i sprowadzenie jej do mieszkania. Przysłała i kazała niezwłocznie wywołać pogotowie. Zadzwo-  
nikiem i okazało się, że strzelecki szpital nie przyjmuje położnic. Nie podali powodu, stwierdzono tylko że wszystkie przypadki wożą do Zdzieszowic do izby porodowej. "Je mogłem się na to zgodzić.

W izbie porodowej nie ma lekarza a A ■■■ musiała mieć w związku z przebytą dwa lata temu operacją, zapewnioną w tym ważnym momencie opiekę lekarza. Odnowiłem karetkę i postanowiłem skorzystać z drogi okrężnej. Przypuszczałem, że na pewno jest na oddziale przepełnienie, musi być jednak jakaś rezerwa. Nigdy znajomości do celów osobistych nie użytkowałem wykorzystywać, tym razem cel uświęcał środki, Sekretarz ZMP, był bliskim przyjacielem dyrektora szpitala. Wyrwałem go z kółka, przedstawiłem o co chodzi. Po chwili zadzwonił. Okazało się, że dyrektor nie bardzo chce wchodzić w sprawy bezpośrednio podległe ordynatorowi oddziału i kazał dzwonić do niego. Tylko on może taką decyzję wydać. Nie muszę dodawać, że między dyrektorem a ordynatorem oddziału były jakieś waśnie i tylko dlatego jeden nie chciał mieszać się w kompetencje drugiego. U ordynatora Ala się leczymy i była cały czas pod jego opieką. Uważałem więc już sprawę za zakończoną. Zadzwoniłem do niego. Odebrała służąca: "państwa nie ma, wyjechali na kilka dni do Zakopanego". Zdziwiłem się, dyrektor o tym nie wie. Zbliżała się już ósma. Była więc kolejna szansa. O ósmej rozpoczął pracę nasz znajomy, członek pedekowskiej rady lektorskiej, lekarza rentgenolog. Zadzwoniłem do niego. Oczywiście zobowiązał się szybko wszystko zakończyć. Oddział położniczy mieścił się na trzecim piętrze. Poszedł tam robić miejsce dla łony. Po kilka minutach zadzwonił. Niestety, łona nie mogła być przyjęta. Oddział ...salowano i był w związku z tym nieczynny. Zakładem już nie wiem na kogo bardziej i na co bardziej. Znajomy lekarz poinformował mnie tylko jeszcze, że zakatwi mi aby A ■■■ zawieszono nie do Zdzieszowic a do szpitala w sąsiednim mieście powiatowym - Krapkowicach. To już mnie trochę urządziło. Musiałem jednak najpierw zawieźć ją do szpitala w Strzelcach na badanie i tam miałem otrzymać skierowanie. Znowu telefon na pogotowie. Jak pech to pech. Nie było karetki, wszystkie wyjechały. Wziąłem taksówkę i pojechaliśmy do szpitala. Badanie wykazało, że faktycznie już ostatnia pora, w każdym razie do porodu

zostało już tylko parę godzin. Tu udało mi się jeszcze przekonać dyżurną panią doktor, że droga do Krapkowie jest wyboista od zlodowaciałego śniegu i jazda po niej może być niesbyt bezpieczna dla pacjentki. Na moje właściwie ryzyko napisała skierowanie do wojewódzkiego szpitala położniczego w Opolu, który w zasadzie nie przyjmował pacjentek bez szczególnych powikłań. Pani doktor wpadła ponadto na piękny pomysł poduczenia mnie w sztuce akuszerskiej na wypadek gdyby w drodze do Opola żona zaczęła rodzić. A robiła to dlatego, że karetka w dalszym ciągu nie było i musiałem jechać do Opola taksówką. Oczywiście nie zgodziłem się na zbyt szybkie opanowanie nowego fachu i żądałem do asysty położnej. Pojechaliśmy.

W drodze faktycznie o małe nie doszło do urodzin. Zdążyliśmy jednak. W szpitalu opolskim nie chcieli nas przyjąć i już zaczęli pisać skierowanie do kolejnej izby porodowej w Czarnowasach pod Opolem. Komuś tam coś powiedziałem, wyrzucili mnie za drzwi i w sukurs przyszła sama "nowa istota", która zaczęła pukać na ten świat. Nie było więc już mowy o dalszej podróży.

Nową istotą okazała się córeczka. Co prawda oczekiwałem syna ale i tak byłem szczęśliwy i dumny. Gdy wyszedłem ze szpitala i szedłem ulicami Opola dziwiłem się, że ludzie tak normalnie koło mnie przechodzą jak by nic się nie stało. A przecież urodziła się córa. Musiałem szybko ten fakt oficjalnie zalegalizować. Z zaświadczeniem otrzymanym w szpitalu udałem się do Prezydium MN. W Urzędzie Stanu Cywilnego dałem powód do śmiechu urzędnikom. Wiedziałem, że zaświadczenie włożyłem do lewej kieszeni płaszcza. Stamtąd też wyjąłem dokument i wręczyłem urzędniczce. Popatrzyła i stwierdziła, że to chyba nie to. Oburzyłem się jak to nie to. Nie miałem racji. Wyjąłem z rozstargnienia zamiast zaświadczenia, kwit z pralni i na niego chciałem zameldować córeczkę.

Potem wstąpiłem do pierwszego po drodze baru, strzeliłem dwa "głębokie", kupiłem kwiaty, zaniosłem do szpitala i zacząłem ..... świętować.

I [ ] była prześliczna. Drobne to było strasznie ale wspaniałe. Bałam się jej dotknąć aby przypadkiem nie zrobić krzywdy. Przyjechaliśmy i zaczęła się robota. Co prawda pielęgniarki uczyły młode mamy jak należy z niemowlakami postępować, A [ ] jednak bała się kąpieeli. Zamówiłam więc położną. Sam otrzymałam wykaz niezbędnych do zakupu artykułów. Mieścił się w tym spirytus do odkażania. Kupiłam ...więc cały litr i potem systematycznie się odkażałam.

Zbliżała się pora kąpieeli. Wszystko już przygotowane a położnej nie widać. Małeństwo zaczęło krzyczeć i A [ ] zdobyła się na bohaterki czyn. Przeszudiowała jeszcze raz notatki ze szpitalnej nauki i płacząc niemniej głośno od matki, wykapała I [ ]. Potem czytając kolejne czynności z kartki odprawiała cały, jak się okazało niezwykle skomplikowany, ceremoniał namaszania oliwką, pudrowania itp.

Gdy wszystko było skończone wpadła złysszana położna. Zostało jej tylko sprawdzenie jakości wykonanych czynności młodej matki i ...odkażenie się ze mną. Przychodziła potem, już punktualnie, przez cały tydzień, potem miesiąc.

Przychodziła też doglądać matki żona owego lekarza rentgenologa, lekarz pediatra. Sprawowała zresztą systematyczną i bezinteresowną kontrolę nad I [ ] przez następne miesiące. Miała więc Iwonka od pierwszej właściwie chwili wszystkie warunki prawidłowego rozwoju. Obawiam się, nawet, że były to warunki zbyt ciepłarniane, co w tej chwili czasem daje o sobie znać.

Jedyny kłopot był z mieszkaniem. Faktycznie kawalerka była zbyt ciasna.

## X. PONIŻEJ PASA

---

Na początku marca rozchmurzyło się i snów zaczęło świecić słońce.

Praca w klubach była u szczytu rozwoju. Remont też już wchodził w ostateczną fazę.

Zbliżała się kampania wyborcza do Sejmów i rad narodowych. Znowu dla mnie dużo pracy. Robiłem wszystko aby placówki kulturalne wzięły udział w kampanii możliwie najbardziej widoczny. Każde spotkanie kandydatów na posłów, a nawet radnych, oprawiane było występem zespołów artystycznych. W województwie zorganizowano trzystopniową szeregówkę wyborczą. Nostałem przez władze ustanowiony szefem powiatowego zespołu organizacyjnego tej imprezy. Obok wyznaczania zadań innym, sam prowadziłem w kilku miejscowościach imprezy, prowadziłem też finał powiatowy. Potem było trochę czasu na odpoczynek i w czerwcu przystępowaliśmy do obliczenia roku kulturalnego.

Lato wcale jednak nie zapowiadało się wypoczynkowo. Opolszczyzna otrzymała prawo organizowania centralnej imprezy inauguracyjnej roku kulturalnego. Wydział Kultury P ZNII zaszczyt zamierzał przekazać Strzelcom Opolskim co powiązane byłoby z uroczystym oddaniem do użytku nowego budynku PZK społeczeństwu, a faktu symbolicznego przecięcia wstęgi dokonałby minister Lucjan Motyka.

Nasza placówka uważana była wówczas za bezprzeczenie najlepiej prowadzącą działalność terenową spośród wszystkich "pedeków" Opolszczyzny. Teraz mieliśmy okazję wyjechać się jeszcze umiejętnościami organizacyjnymi. Uroczystość inauguracyjnej roku kulturalnego obrastała wtedy w tradycję i zawsze miała odpowiednią "pompy". Całość prac związanych z przygotowaniem uroczystości inauguracyjnej,

przygotowania do niej naszej placówki i placówek terenowych, sporo prac organizacyjnych innych - wszystko to spadało na mnie. Nie bałem się pracy. Cieszyło mnie uznanie dla wszystkich, którzy sobie na ten zaszczyt zasłużyli i gotowy byłem poświęcić nie tylko czas ale i sporo zdrowia aby tylko zadanie spełnić. Nie brałem więc w lecie urlopu a tylko każdą wolną od pracy chwilę wykorzystywałem na spacer z I [REDAKTOR]. Bardzo lubiłem ją wozic po mieście, opowiadać jej po drodze o wszystkim co oglądaliśmy. To nic, że ona nic lub prawie nic z tego nie rozumiała. Kiedyś w czasie spaceru, gdy coś poprawiałem I [REDAKTOR] w wózek i byłem nad nią pochylony, usłyszałem nad sobą:

- Dzień dobry panie kierowniku, kiedy znowu przyjedziecie? Była to jakaś starsza kobiecina ubrana po wiejsku. Nie wiem z jakiej wsi. Jedno wiedziałem tylko - z takiej, w której byliśmy gośćmi w zimie.

- Po zniwach, oho! - odpowiedziałem.

A więc nie była to jazda po próchnicy. Ludzie na nas czekają. Tysiąc nagród nie stanowi takiej satysfakcji jak to jedno "kiedy znowu przyjedziecie"?

W kilka dni później, 31 lipca wezwany zostałem przez zastępcę przewodniczącego P PRN do jego gabinetu. Rozmowa była krótka:

- Ślącicie to nie wiem jak to wam powiedzieć - zaczął przewodniczący

- A o co chodzi? - spytałem

- No naprawdę nie wiem ...

- Czyli coś złego ... - domyślałem się - pewnie cofnięto mi pozwolenie na zamieszkanie w pedelu?

- Pośrednio i tak ... Zresztą, proszę, przeczytajcie. Dlaczego jednak akurat ja muszę wam to dawać?

Było to wypowiedzenie z pracy na stanowisku kierownika domu kultur.

Byłem zaszokowany.

Ślupio mi było przed A [redacted]. Tyle razy mówika: po co ci tyle pracy, dlaczego się tak męczysz, kto to doceni?

Nie zrealizowałem już przyrzeczenia danego owej babci na ulicy: "po żniwach, ora"! We wrześniu poszedłem na urlop. Nie mógł z tego powodu nastąpić odbiór budynku po remoncie. Byłem jeszcze kierownikiem POK a więc jego "użytkownikiem". Odbiór bez użytkownika nie mógł nastąpić.

W tym czasie załatwiłem sobie pracę podobną na podobnym stanowisku w Namysłowie. 30 września zawiadomili władze strzeleckie, że skłacam okres wypowiedzenia, pożyczę im dobrego mego następcę i nastajutrz objąłem nową placówkę.

Inauguracja roku odbyła się w Kędzierzynie. Byłem na uroczystości. Jako gość, a tak już czułem się jej gospodarzem.

Nowa placówka obejmowana z opinią wystawioną mi przez strzeleckie Prezydium:

"Obywatel B [redacted] W [redacted] Pracuje w tutejszym powiecie /opinia wystawiona była w sierpniu - dop. B.W./ od dnia 1 września 1960 r. na stanowisku kierownika Powiatowego Domu Kultury w Strzelcach Opolskich.

Jako pracownik - dobry.

Awansowany był w styczniu 1961 r. i w styczniu 1962 r. Z dniem 1 stycznia 1964 r. otrzymał dodatek specjalny określony przepisami w wysokości 20% uposażenia, a w maju 1965 r. dodatek ten decyzją Prezydium POK został zwiększony do 30%, /maksymalnie - dop. B.W./ Jako kierownik Powiat. Domu Kultury - zdolny, ruchliwy, o szerokiej skali pomysłów. Posiada wiele walorów potrzebnych w pracy, którą wykonywał.

Należy jednak do indywidualności trudnych, szczególnie w wypadkach konieczności uzgodnienia projektowanych prac. Tragicznie mieć swoje indywidualne zdanie, a w postępowaniu wykazuje podświadome dążenie

do samodzielnego, nieskrępowanego działania - co może być źródłem nieporozumień.

Członek PZPR.

Pod względem moralnym bez zastrzeżeń.

Opinię wydaje się na żądanie wymienionego".

Wszelki komentarz jest chyba sztytaczny.

#### XI. GROC NAD WIDAWĄ

Namysłów poznałem jesienią 1963 roku. Od dwóch lat wówczas namyskowski "pedek" realizował znany w kraju eksperyment "szkoła ogniskiem kultury". Dla realizacji tego eksperymentu wybrano chyba sześć powiatów w kraju. Chodziło w nim o to, aby całość pracy kulturalnej na wsi oprzeć o szkołę. Tam gdzie we wsi nie było odpowiednich warunków lokalowych na świetlicę, służyć miała za nią jedna ze szkolnych klas, specjalnie do tego przyspobiona. Tam gdzie warunki były, rola szkoły polegała na sprawowaniu nad placówką kulturalną opieki. W obydwu wypadkach nauczyciele pełnili funkcję kierowników świetlic i organizatorów pracy kulturalnej w środowisku. Wszystkie wybrane powiaty otrzymały z Ministerstwa Kultury a także od władz terenowych odpowiednie dotacje na wyposażenie placówek czy szkolnych klas w meble, telewizory i inny sprzęt. Otrzymały również dotacje na prowadzenie różnorodnej działalności oświatowo-kulturalnej. Namysłów był jednym z nich. Warunki lokalowe sprawiały, że w zasadzie nigdzie placówki nie tworzono przy szkołach, natomiast w remontowano i wyposażono odpowiednio lokale specjalnie tylko "kulturze" służące.



Niestety przesadzono. W 1961 roku, kiedy zaczęto w powiecie tworzyć "ogniska kultury i oświaty" liczono, że w starczą pieniądze i nazwa dla placówki aby stała się ona faktycznym ogniskiem kultury. W akcji, w której brał udział bardzo licznie do tego zaangażowany aktyw społeczno-polityczny, popełniono cały szereg błędów. Po pierwsze, stworzono "ogniska" za dużo zarówno jak na możliwości jak i potrzeby. W powiecie liczącym około 60 wsi, ognisk utworzono prawie pięćdziesiąt, nawet w takich wsiach, w których zamieszkiwało kilkanaście zaledwie rodzin. Po drugie, przed utworzeniem placówek wyżej zorganizowanych, jakim miały być "ogniska", nie przygotowano społecznej kadry, na działalności której praca "ognisk" miała się opierać. Po trzecie wreszcie, nie przygotowano odpowiednio do opieki nad placówkami Powiatowego Domu Kultury, któremu to zadanie powierzono. Był on wówczas jeszcze ciągle w stadium rozruchu. Otwarty w maju 1960 roku nie zdążył sobie wyrobić własnego profilu działalności a mnogość kompetentnych czynników, oczywiście znających się na "kulturze" jak nikt inny, powodowała, że nieodświadczone kierownictwo i cała kadra nie wiedzieli kogo w końcu słuchać a sami również nie wiedzieli co robić i jak robić.

W efekcie eksperyment był utrzymany przy życiu tylko w sprawozdaniach i referatach okolicznościowych. Jak było faktycznie przekonaniem się właśnie jesienią 1963 roku, kiedy wybrałem się z grupą pracowników PDK i biblioteki powiatowej w Namyszkowie w celu naoczego zapoznania się z osławionym na całą Opolszczyznę eksperymentem. Zobaczyliśmy kilka ognisk, oczywiście tych najlepszych z kilkunastu utrzymanych przy życiu. Towarzysząca nam kierowniczka domu kultury i kierownik referatu kultury początkowo starali się nas przekonać o "wielkich sukcesach" placówek ale po kilku fachowych pytaniach zrozumieli, że to nie ma sensu.

Namyszkowski eksperyment starano się zresztą przedkozyć typując ten powiat do innej akcji "kompleksowej pracy oświatowej

na wsi", co było bezpośrednim wyzwaniem do naszej, strzeleckiej "akcji oświatowej". Jak wcześniej wspomniałem, w Namyskowie i ta akcja wysiadła po kilku miesiącach. Znowu brak społecznej kadry, brak odpowiedniej atmosfery w powiecie, zdecydowały o kolejnym niepowodzeniu.

Władze źle zrozumiały przyczyny i zmusiły do rezygnacji ze stanowiska kierowniczkę. Stało się to na początku lutego 1965 roku.

Od tego czasu, to jest przez prawie pół roku, POK był bez kierownika. Wydział Kultury P WRN zaproponował mi objęcie tego stanowiska. Pojechałem ponownie do Namysłowa. Zostałem przyjęty dość serdecznie przez kierownika referatu kultury. Program winny był wypełniony do maksimum. Jego syn zdał tego właśnie dnia egzamin w liceum ogólnokształcącym. Zdenerwowany tato nie mógł sobie odmówić pójścia tam. Pociągnął i mnie. Potem byliśmy na rozmowie z sekretarzem propagandy KP i następnie z kierownikiem Wydziału Oświaty i Kultury. Saraz po tych rozmowach udaliśmy się do P PRN, gdzie trwała od rana sesja powiatowej rady i jednym z jej punktów była właśnie ocena działalności kulturalnej w powiecie. Wcenił ją nie najlepiej. Po sesji kierownik referatu zaprowadził mnie do gabinetu przewodniczącego, przedstawił i wyraził swoją, pozytywną opinię o przyjęciu mnie do pracy. Przewodniczący oczywiście nie miał nic przeciw temu, nawet po przeczytaniu wystawionej mi opinii P PRN w Strzelcach. Miałem jednak ja pytania. Mieszkanie? praca dla żony? Uposażenie nie upoważniało mnie do otrzymania mieszkania komunalnego, musiałem zapisać się do spółdzielni. Oszczędności nie miałem żadnych, zostało mi nawet do spłacenia trochę długu w OBN-ie i pożyczki w Banku Spółdzielczym. W sumie pięć tysięcy złotych. A tu trzeba mieć gotówkę na wkład. Przewodniczący obiecał pożyczkę w Banku Inwestycyjnym, kierownik Referatu Kultury natomiast zafiarował się załatwić pożyczkę w Kasie Zapomogowo-Pożyczkowej SPP. Ponadto przewodniczący zapowiedział, że da mi bezpłatnie samochód ciężarowy dla przewiezienia ze Strzelec mebli i "swoją" osobowy

wóz dla przewiezienia żony i dziecka.

Takie wyjście mnie zadawało. Teraz udaliśmy się do prezesa spółdzielni mieszkaniowej. Miasto przez wiele lat nie ruszało z miejsca z budową mieszkań. Dopiero w latach sześćdziesiątych zabudowano całkowicie rynek a powstała jako jedna z pierwszych w województwie spółdzielnia mieszkaniowa rozpoczęła wówczas po kilku "plombach" w śródmieściu budowę osiedla przy ulicy Reymonta. Tam miałem właśnie otrzymać mieszkanie, w budowanym właśnie bloku, z tak zwanej "rezerwy". Blok miał być oddany w listopadzie. Dołobychem do tego miesiąc i byłem pewny, że do końca roku całkowicie zamieszkały w Hanuszkowie.

Po tej wizycie udaliśmy się jeszcze do pierwszego sekretarza KP. Nie była to wizyta zamierzona. Po prostu, szliśmy ulicą, spotkaliśmy sekretarza, kierownik referatu przedstawił mnie jako kandydata na kierownika PZK i uszyszeliśmy:

- To chodźcie chłopcy do mnie!

Poszliśmy. Tu dowiedzieliśmy się, że właśnie sekretarz był motorem akcji tworzenia "ognisk kultury i oświaty" i chyba jako jedyny w powiecie wierzył nawet jeszcze wtedy w szanse ich istnienia. Z rozmowy wynikało, że był wielkim miłośnikiem "kultury" i odpowiednie ustawienie pracy pomoże mu w uzyskaniu jego poparcia i pomocy. To było bardzo cenne osiągnięcie pierwszego dnia.

Po wyjściu z gabinetu "Pierwszego" kierownik referatu nie ukrywał zdumienia. Podobno nigdy nie słyszał dotąd aby sekretarz z kimś dyskutował. Podobno był bardzo apodyktyczny. A ja w rozmowie z nim nie ukrywałem swoich poglądów na dobre funkcjonowanie całej powiatowej "kultury" i udziału w tym władz. Ograniczałem ich rolę do zapewnienia odpowiedniej atmosfery, pomocy materialnej, zapewnienia odpowiedniej bazy lokalowo-sprzętowej, zatwierdzenia po wspólnej dyskusji programów działalności i okresowego ich rozliczania. Nie było tam miejsca dla "czynników" na tworzenie własnych koncepcji, wymyślanie ni stąd ni zowąd "akcji ku

czci", kierowanie takim czy innym szczegółowym przedsięwzięciem. To zostawiałem kadrze fachowej. Podobno te słowa były akurat nie na miejscu przy "Pierwszym", znanym właśnie z tego, że wszystko musiał załatwiać osobiście.

W czasie rozmowy tego nie zauważyłem i śmiało swoje zdanie wyrażałem, kierownik referatu nie miał natomiast odwagi mi przerywać i jak później się dowiedziałem, był już pewny, że ostatnia wizyta dnia zadecyduje o tym, że jednak namysłowskim podokiem będzie kierował ktoś inny. Był zdziwiony, że potęgnanie było raczej serdeczne i zakończone zaproszeniem dla mnie na rozmowę już po objęciu placówki.

Było już późno po południu. Potęgnalem mego rozmówcę i sam udałem się na "wycieczkę" po mieście. Robiło bardzo estetyczne wrażenie, czyste, zadbane, dużo, rzucającej się na każdą krokwę w oczy zieleni. Było mniejsze od Strzelec, należało i należy do najmniejszych powiatowych miast Opolszczyzny. W odróżnieniu od Strzelec na ulicach i w sklepach nie słyszano się śląskiej gwary, często natomiast dochodziły do uszu zabużańskie "zaśpiewki". Jak się okazało, samo miasto jak i cały powiat zamieszkałe były przez osadników z wszystkich stron kraju a przewagę wśród nich mieli byli mieszkańcy Lwowa i okolic i Wielkopoleanie.

Poszedłem na ulicę Reymonta. Robotników na budowie już nie było, nikt mnie nie zatrzymał, poszedłem więc na budowę. Jak żywo stanęła mi przed oczyma sytuacja sprzed pięciu lat. Tam też blok był "już na ukończeniu" a oddano go po czterech miesiącach. Ile więc będzie potrzeba czasu na oddanie budynku o ile zapowiada się, że będzie to trwało około kwartału?

trochę popsuł mi humor widok mocno jeszcze rozbetonowanej budowy. Klamka jednak już zapadła. Jedyne co mogłem zrobić, to nie... wspominać sobie o stanie budynku.

Pod wieczór wsiadłem do autobusu i przez Opole wróciłem

do Strzelec. Przez całą drogę rozmyślałem o tym jak teraz rozpocząć pracę aby uniknąć strzeleckich kłopotów. Czy lepoza jest metoda "lizania", na której spora grupa nierobów zupełnie dobrze wychodzi czy raczej konsekwentnie dążyć do celu według obranej linii? Ale ta metoda, według mnie jedyna, kryje zasadzki. Nigdy niewiadomo komu się podpadnie. Czy warto podpadać? Nie jestem już sam, jest Bona, jest Iwonka. To głównie dla niej lepiej czasem ugryźć się w język. Czy na pewno lepiej? Czy chciałbym aby ona wyrosła na coś co trudno nazwać człowiekiem, człowiekiem Myślącym? Ale czy cena jaką się płaci za "człowieczeństwo" w tym znaczeniu nie jest zbyt wysoka? Czy jednak satysfakcja właśnie po zapłaceniu tej ceny nie jest jeszcze większa?

A ■■■ nie była zachwycona rezultatami mojego rekoncesansu. Oznaczało to kilkumiesięczną rozłąkę. Śnając mnie, nie wierzyła w cokoludniowe wizyty. Nie była też zachwycona mieszkaniem spółdzielczym. To nie, że udało się na ten cel uzyskać pożyczki. Pożyczki trzeba jednak spłacać a to oznacza w rzeczenie się sukienek i innych fatalaszków, których i tak nie miała zbyt dużo.

Postanowiła, że na okres do czasu przenosin, przeprowadzi się do swojej mamy. Natwiej jej będzie radzić sobie z I ■■■ i pracą. Tym z kolei ja nie byłem uszczęśliwiony, nie wypadło mi jednak sprzeciwić się. Byłem w jakiś sposób przegrany i w domu. Nikt tego głośno nie mówił, wyczuwałem jednak u Ali ból. Chyba nawet zasłużony.

## XII. CBY TAK DAŁO SIĘ !

---

Władze strzeleckie zaskoczone zostały moim skłóceniem

okresu wypowiedzenia, nie próbowały jednak przeszkodzić w zatrzymaniu mnie, a może nawet było im to na rękę.

W Namyskowie zamieszkałem w pedekowskiej garderobie. Co prawda zaproponowano mi na okres oczekiwania na mieszkanie kawalerkę w właśnie zakończonym budynku komunalnym.

Podobno nie było na nią jeszcze przydziału i przez kilka miesięcy można go było nie wydawać. Rezygnowałem. Dąłem się, że mogę w niej ...zostać na stałe. Gdyby było jakieś na pewno dołączyłbym do Namyskowa żonę z córką. Kto wie czy wtedy nie znalazłoby się ileś tam bardziej potrzebujących a ja bym czekał, czekał, kto wie jak długo. Woląłem więc całkowitą prowizorkę.

Powtórzyła się więc pod tym względem historia ze Strzelcem. Było jednak kilka różnic. Tu nowy budynek, chociaż też ...walczył się. Po prostu postawiono go na kurczance i pękł już w rękach budowlanych. Była liczniejsza kadra. Brzech instruktorów. Tytu nigdy w Strzelcach nie miałem. Co prawda ich kwalifikacje nie dobrego nie wróżyły ale to zawsze jakaś kadra. Gorzej wyglądała sytuacja finansowa placówki. Wynikało to zarówno z faktu, że Namysków do bogatych powiatów nie należy jak również z tego, że nikt dotąd nie starał się o wyższą dotację. Stąd niskie gage pracowników.

Praca właściwie leżała. Po kompletnym już wtedy fiasku z ogniskami kultury nikt nie umiał przedstawić jakiegos do przyjęcia programu.

Każde dały mi sześć tygodni na zapoznanie się z dotychczasową pracą placówki, tradycjami kulturowymi w powiecie, poznanie aktualnego stanu działalności i opracowanie programu. Przedstawiłem go na czas. Był dyskutowany na specjalnie w tym celu zwołanej naradzie, w której uczestniczył sekretarz propagandy RP, sekretarz Prezydium /decernent "kultury"/, kierownicy Wydziału Oświaty i Kultury i Referatu Kultury i kilka innych osób zainteresowanych problemem ze względów zawodowych lub z racji społecznego uczestnictwa w działalności kulturalnej. Bardzo mi się taka forma dyskusji nad programem spodobała. Żałować jedynie mogę, że nie powtórzono już jej nigdy.

Moje koncepcje, oparte głównie na doświadczeniach strzeleckich w pracy oświatowej, zostały zaakceptowane. Był to więc pierwszy sukces.

Pracę na wsi mogłem podjąć. Szlaki w jakiś sposób zostały przetarte przed dwoma laty, właśnie w połowie listopada otrzymałem do PDK nową "Unyskę", jak to robić wiedziałem jak mało kto. I niestety. Nie było w Namyszkowie strzeleckiej kadry lektorskiej. Za mało znałem ludzi aby wiedzieć jak do nich trafić aby ich namówić na stałą współpracę. Nie wierzyli. Byli zbyt często nabierani. Był i drugi powód wycofania się z kolejnej akcji oświatowej - kontrola NIK-owska w PDK w Strzelcach. Rozpoczęła się na początku stycznia 1966 roku a więc w cztery miesiące po moim odejściu, ale dotyczyła wyłącznie prowadzonej przez PDK i ZP WWP akcji odczytowej na wsi. Inspektor prowadził od początku kontrolę z nastawieniem, że kryje się w tym finansowa afara. Skutki tego sposobu odczuciem dość boleśnie. Po zakończeniu kontroli, bez dania mi szansy złożenia jakichkolwiek wyjaśnień oddano sprawę do Prokuratury Wojewódzkiej i zawiadomiono o tym przewodniczącego PDK w Namyszkowie, żądając od niego natychmiastowego zwolnienia mnie ze stanowiska. Chodziło o 13 odczytów, za które podobno niesłusznie pobrano w okresie ostatnich dwóch lat pracy w Strzelcach honorarium z WWP, bo odczyty te podobno się nie odbyły. W piśmie informowano przewodniczącego również o innych moich "przewinieniach" jak na przykład jazda bez pokrycia w kartach drogowych w dniu ...20 października 1965 roku samochodem PDK na odległość 80 kilometrów. Tę sprawę wyjaśniłem w czasie jednej z dwóch rozmów w czasie pięcioletniej kontroli, inspektorowi. Przyznał mi nawet wówczas rację i uznał moją niewinność. No bo 20 października byłem od trzech tygodni kierownikiem PDK w Namyszkowie i nie dysponowałem samochodem w PDK w Strzelcach. Inspektor sprawdził to wówczas jeszcze raz we wszystkich możliwych aktach i ...oskarżył przed prokuraturą.

Szezebel wojewódzki prokuratury był potrzebny ze względu na to, że jednym z współoskarżonych, przepraszan podejrzanych, był sekretarz ZP TTP, następcą prokuratora powiatowego, oskarżony o około... 10 "lewych" odczytów.

Pismo z NIK-u poszło nie tylko do przewodniczącego P PRN. Do wiadomości otrzymali je również: sekretarz propagandy KW PZPR, I-szy sekretarz KP PZPR w Namysławie, kierownik Wydziału Kultury P PRN no i oczywiście władze strzeleckie. Mnie z jego treścią zapoznają "Pierwszy". Kazał przeczytać i zapytał:

- Co wy na to?

Było to pytanie kłopotliwe. Jak wytłumaczyć, że jestem niewinny, przecież w NIK-u nie siedzą ludzie, którym akurat musi zależeć na tym, aby mnie zniszczyć. Przyznać się do winy nie mogę, bo winy nie jestem.

- Nie wiem towarzyszu sekretarzu - odpowiedziałem - trudno mi cokolwiek powiedzieć tak, aby to nie było sztuczne i nie wyglądało głupio. Winny nie jestem, ale wy nie macie mi obowiązku wierzyć. Jedyna o co chcę prosić to o to, że ja sam złożę wypowiedzenie...

- Czyli jesteś winny!

- Nie, nie jestem!

- No to po co chcesz składać wypowiedzenie?

- Bo inaczej je dostanę, a będzie to już drugie w ciągu roku. Wolę więc sam pracować.

- Jaki masz dowód, że nie jesteś winny? - spytał sekretarz

- Przede wszystkim nie wiem o jakie odczyty chodzi. Miałem przed napisaniem protokołu z kontroli otrzymać ich wykaz i dać wyjaśnienie. Niestety. Nie otrzymałem. A może zaszyły jakieś pomyłki przy wypełnianiu dokumentacji, zbiegły się w ten sposób daty odczytów i nie mam obrony. Kto dziś będzie pamiętał w jednej czy drugiej wsi, że miałem u nich odczyt przed dwoma a nawet trzema laty 20 a nie 21 stycznia lub odwrotnie? Nikt! Jeśli takie pomyłki są, to za głupotę będzie trzeba płacić. Nie jestem niewinny mam tylko jeden



dowód w świetle tu leżącego pisma. Piszą, że 20 października 1965 roku nie mam pokłtycia na jazdę na 80 kilometrów pedekowskiego samochodu. Wyjaśniałem inspektorowi tę sprawę.

Pracuję tu przecież od 1 października. Dzień wcześniej zdałem wszystko w Strzelcach i byłem tam pierwszy raz, to znaczy w strzeleckim PDK dopiero w styczniu, wezwany przez inspektora NIK-u, kiedy on rozpoczynał kontrolę. Jak można więc mnie obciążać za te jakieś 80 kilometrów? Dlaczego, mimo tak jasnej sytuacji obciążenie utrzymano i informuje się o tym póź świata?

"Pierwszy" podszedł do telefonu, wykręcił numer -

- Halo! Wydział Oświaty? - Dajcie mi inspektora! - gdy tamten podszedł do telefonu, Sekretarz zapytał - Od kiedy nasz kierownik domu kultury pracuje? Od 1 października? Na pewno? Dobrze, sprawdźcie. Dobra, dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

- Więć nie będziesz składał żadnego wypowiedzenia. Nie będziesz też zwolniony. NIK to nie sąd. Poszukaj sobie tylko dobrego adwokata żebyś w sądzie nie dostał wyroku. Jak będziesz winien, nie popracujesz ani jednego dnia dłużej. Wierzę ci i życzą, żebyś to się jakoś dobrze skończyło. Masz chłopie pecha. Nie mogą ci darować.

Było to ostatniego maja. Do prokuratury wezwany zostałem dopiero pod koniec sierpnia. Dopiero tu zapoznałem się z listą 13 "ukradzionych" setek złotych. Do dyspozycji prokuratury oddano wszystkie akta finansowe PDK z lat 1963-1965 a także akta 25 TPW dotyczące powiatu strzeleckiego. Oskarżenie opierało się na twierdzeniu, że jednego dnia zgodnie z dokumentami odbyłom /i inni/ dwa odczyty, co ze względu na odległości między wsiami nie wchodziło raczej w rachubę, chociaż takie wypadki mogły i miały miejsce, ale tylko w wypadku dwóch bardzo blisko siebie położonych wsi. Jakież było jednak zdziwienie moje i pani prokurator, kiedy kolejno analizowane na podstawie dokumentów wypadki nie miały w tych dokumentach pokrycia. Po prostu dalszy zbieg pomyłek nikowskiego inspektora

Dochođenje zostało umorzene.

NIK decyzję Prokuratury Wojewódzkiej zaskarżył do Generalnej. Jeszcze raz analiza dokumentów, jeszcze raz oskarżono mnie o nieszczęsne 80 kilometrów, jeszcze raz sprawę umorzono.

Ile jednak kosztowała nerwów? Tego nikt nigdy nie obliczy i nie wyceni.

W sumie jednak pierwszy rok pracy w Namysłowie przysporzył mi obok smutnych doświadczeń będących jeszcze strzeleckimi reperkusjami, sporo sukcesów i uznania. W pewnym sensie popisówką były Dni Kultury Ziemi Namysłowskiej.

Były z nimi trochę kłopotów zanim się na nie zdecydowano. Ich geneza jest i uroczysta i prozaiczna. Prozaiczna dlatego, że chciałem, przede wszystkim, dla siebie, sprawdzić jaki jest faktyczny stan posiadania namysłowskiej kultury, jakie są możliwości organizacyjne, jakich mamy ludzi, do czego są zdolni. Najlepiej się to wszystko sprawdza przy imprezach - gigantach, gdzie cała machina musi idealnie grać, bo zacięcie się jednego trybu powoduje awarię całości.

Usiadłem któreś nocy w mojej garderobie, wziąłem do ręki kalendarz i tam powstał pierwszy projekt Dni Ziemi Namysłowskiej. Miał to być ośmiodniowy /od niedzieli do niedzieli/ cykl imprez artystycznych, oświatowych i rozrywkowych, dużych i małych, w sali i w plenerze, organizowanych w maju 1966 roku jako jedna z głównych imprez ostatniego roku obchodów Tysiąclecia Polski.

Następnego dnia opracowany projekt przepisalem na maszynie w kilku egzemplarzach i przedstawiłem kierownikowi referatu kultury i prezesowi Towarzystwa Miłośników Ziemi Namysłowskiej, dla którego to przewidywałem w programie dość spory udział. Projekt przypadł im do gustu i postanowili go przedstawić ... "Pierwszemu".

Byłem zdziwiony, że to oni chcą przedstawić projekt władzy a nie ja jako jego autor, ale nie sprzeciwiłem się temu, bo jakie to ma w końcu znaczenie.

Jeszcze tego dnia usłyszałem -

- Może pan sobie projektem d... utrzeć. "Pierwszy" nas wyrzucił za drzwi. Nie będzie, powiedziały, żadnych "dni". Nie ma pieniędzy i koniec.

- A powiedzieliście mu, że to nic nie będzie kosztowało? - zapytał kierownika referatu

- A pan by zdążył? Ledwo wspomnieliśmy o "dniach" już nas nie było w gabinecie...

- Będą panowie te "dni". Pójdą sam. - postanowiłem

- Objechał już pana "Pierwszy" ? - spytał kierownik

- Nie.

- To niech pan lepiej nie próbuje tej przyjemności...

Poszedłem. Oczywiście dopiero po dwóch czy trzech dniach. Wyliczyłem dokładnie przewidywane koszty. Ani grosikiem nie wycho-  
dziły poza normalne budżetowe środki na działalność i na imprezy z okazji "Dnia Oświaty, Książki i Prasy", jakie tradycyjnie się w ma-  
ju organizuje.

Wszedłem do gabinetu, przedstawiłem cel wizyty.

- Przecież już tantym powiedziały, że nie - stwierdził gospodarz

- Ale towarzysze sekretarz nie zapoznał się z programem...

- Słuchaj, choćbyś diabła sprowadził to i tak nie mamy na niego pieniędzy.

A po co diabła sprowadzać? - byłem zdziwiony

- A kogo chcesz sprowadzić? - spytał sekretarz

- Nikogo...

- Jak to nikogo? - teraz on był zdziwiony - Przecież jak są jakieś tam "dni" to zawsze czytamy: było "Mazowsze", był "Śląsk", byli tam jacyś "niebiescy", "żółci" czy czort ich tam wie jacy.

- Ale przecież to mają być "Dni Ziemi Namyskowskiej".... -  
wtrącił

- No to co? -

- No to właśnie nikogo nie będziemy ściągać obcego tylko poażemy to co mamy swojego a to przecież nic nie kosztuje. Jeśli jednak nadać temu szyk odpowiedni, stosownie uroczyste rany, oficjalny wjazd, uroczystą dekorację niasta i trochę więcej niż zwykle wysiłku grupy organizatorów, to będziemy mieli tania a dobrą imprezę. Proszę, przeczytajcie program, to mi uwierzycie.

Popatrzył zdziwiony, przeczytał, komentował na bieżąco niektóre zamierzenia, doszedł do ostatniej pozycji i -

- Czemu tego od razu nie powiedzieliście?

- Wego to ja już nie wiem. Nie daliście im dojść do słowa...

- Jak są d... to trudno. Wyrażam zgodę. Róbcie!

- Tylko towarzyszu sekretarzu, będzie jedna zmiana...

- JAKA?

- Nie chcieliście mieć "Dni Ziemi Namyskowskiej" to mieć nie będziecie...

- Jak to ? to po co przyszliście z tym? - pytał zdziwiony sekretarz

- Bo to wszystko będzie. Będzie tylko nazywako się "Dni Kultury Ziemi Namyskowskiej"

- Jaka różnica ?

Jadna. Tylko w nazwie. Rzecz jednak w tym, że "dni kultury" są w pewnym sensie "świętem branżowym", ich organizatorami i gospodarzami są pracownicy i działacze kultury, wszyscy inni będą tylko gośćmi...

- Czy to ma jakieś znaczenie ? - spytał sekretarz

- Na. Gościom pozostaje tylko rola...gości.

- Acha. Rozumiem. Nie chcesz, żeby ci się ktoś rzadził.

I ja od dawna tak sędzę. Twierdzą, wiem o tym, że się mieszam do niektórych drobnych spraw. I ciebie już tak ustawili. Powiem ci tylko jedno. Mieszam się tam, gdzie widzę, że inni, ci którzy

powinni coś zrobić, zrobić tego nie umieją lub z lenistwa nie chcą. I ja ich trochę pogonię, to wtedy twierdzą, że się im mieszani. To te gryziplórki mi taką opinię urabiają. Sami tyłkami stożki wygrzewają, nic nie robią a potem oczywiście mają pretensje, że ktoś im inicjatywę odbiera. Niech się nią wykazą najpierw...

- Trudno mi tu zabierać głos. Za kółko jestem, za mało tych ludzi poznałem, ale sekretarzu, złych ludzi w Namysłowie nie mamy.

- Zobaczymy... Przecież sami tych "dni" nie zrobicie, musi wam ktoś pomóc, pieniędzy nie macie i płacić nie będziecie, zobaczymy więc kierownikowi jaki to mamy aktyw. Już ja wiem, kto wam najwięcej pomoże - ci "uciskani". Podobają mi się ten program. Musicie go zrealizować. Pomogę wam...

- Dziękuję towarzyszu sekretarzu, ale wy będziecie....gościen.

- Więc nie chcesz?

- Nie, chcę tylko spróbować tak naprawdę własnymi siłami. Jak będę wiedział, że nie daję rady, to zwrócę się do was o pomoc. Na razie chciałbym faktycznie spróbować bez niczyjej interwencji. Bo widzicie towarzyszu sekretarzu, będę szczery. Mnie najmniej chodzi o tę imprezę. Ale tylko w jej realizacji mogę sprawdzić na kogo mogę liczyć na co dzień. Jak zobaczą, że wy jesteście nią mocno zainteresowani, to wtedy będą udawali, że coś robią, nie wszyscy oczywiście, ale na wielu się nie poznam. Będę potem na takiego liczył i zawiodę się, bo on robił "pod was".

- Ty jesteś chytry....

- Macie coś przeciw temu ?

- Możesz się mocno nacisnąć...

- Mogę, wolę jednak, że na początku, niż wtedy, kiedy już będą miał wyrobioną o kimś opinię. Wtedy mogę rzeczywiście sprawy pozawalać.

- Czy komuś mówiłeś o tym ?

- Nie. Tylko teraz z wami.

- A czemu mnie o tym mówisz ?

- Nie wiem. Też nie lubię "gryziplórków".

- Powódzenia kierownikowi. Rób jak uważasz, masz moje poparcie i zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

Ta rozmowa z "Pierwszym" była bardzo brzemnienna w skutki w ciągu kolejnych lat. Jej rezultatem też chyba było to, że po groźnym piśmie NIK-u w kilka miesięcy później nie zostałem zwolniony. Sekretarz powierzał mi wiele tajemnic, nie zapominał o mnie nie tylko przy rozdawaniu zadań ale również w chwilach, kiedy za pracę dziękowano. Nie chodzi o nagrody, bo takich właściwie w okresie jego pracy w Namyszkowie nie otrzymałem, było natomiast to, co się liczy najbardziej - słowo "dziękuję" i w odpowiednim miejscu ciepłe słowo czy podana "prawica".

Efaktem było naprawdę wspaniałe święto. Kilka imprez pamiętają mieszkańcy Namyszkowa do dziś, szczególnie wspaniałe korowód historycznych, którym zamknięto pierwsze "Dni Kultury Ziemi Namyszkowskiej". "Pierwsze", bo powodzenie ich spowodowało, że następnego roku już bez mojej inicjatywy "dni" weszły do programu dorocznym imprez i odbywają się dotąd każdego maja.

Czy dały również rezultat z mojego punktu widzenia ? Tak. Przekonałem się jednak, że aktyw społeczno-kulturalny jest w naszym mieście naprawdę bardzo skromny liczebnie. Jest jednak kilka osób na których zawsze liczyć można. Jaka szkoda, że tak strasznie szybko biegają lata i właściwie ich najofiarniejsi wkrótce przejdą na emerytury lub już nie pracują zawodowo. Brak natomiast aktywnych młodych ludzi. Gdzie są organizacje młodzieżowe ? Czy tylko rozrywka jest jedyną formą działalności młodzieży ? "Dni kultury" i inne późniejsze imprezy wykazały, że tak właściwie, niestety, jest.

Pierwszy rok pracy w Namyszkowie mogłem więc uznać za dobry. Zyskałem zaufanie władz i tych prawdziwych działaczy kultury. Gorsej było natomiast w domu. Mieszkanie zgosiłem z przewidywania-

ni nie otrzymałem w listopadzie, bo po prostu nie wykończono budynku. Nie wykończono go również w grudniu, styczniu a dopiero w marcu. Odbiór był w kwietniu, pod koniec miesiąca i wtedy otrzymałem klucze. Wiedząc, że w związku z organizacją imprez pierwszomajowych będę miał wiele pracy, przekonywałem sprawadzenie żony i córki na początek maja. Tak się stało i to właściwie stało się przyczyną małżeńskich zgrzytów.

9 maja rozpoczynają się "dni" a z nimi miałem przecież więcej pracy niż z pierwszym maja. W domu byłem gościem. Łonie trudno było zrozumieć, że nie mogę zaważyć sprawy teraz, kiedy już tyle pracy w nią wkładam. Sama nikogo nie znała a nie miałam czasu bawić się w przewodnika. Sytuacja stała się "zimnowojenna". Starałem się potem nagrywać, ale pierwsze wrażenie zostało. Dużo, bardzo dużo czasu trzeba było na zatarcie tamtych dni. Domowej sielance nie sprzyjała trudna sytuacja finansowa. Co prawda przez okres samotnego pobytu w Namyskowie porobiłem trochę oszczędności, wyrabiałem się to jednak zaledwie chyba dwoma tysiącami złotych. Były to oszczędności pozorne, bo faktycznie moje długi urosły do 20 tysięcy złotych i trzeba je było zacząć spłacać. Drobnymi prezencikami starałem się zatrzeć niezbyt miłą sytuację, nie bardzo mi się to jednak udawało. Mieszkanie nie było umeblowane. Nie mieliśmy przecież w Strzelcach kuchni, tam był jeden pokój, tu są dwa. Tam było jedno okno a tu jest ich trzy i duże drzwi balkonowe. Na to wszystko trzeba kupić firany, zasłony. A wszystko kosztuje. W drodze nawaliko, tak ostatecznie, kupione jeszcze w Lesznie radio. Byliśmy więc nawet bez radia, nie mówiąc o telewizorze, lodówce, odkurzaczu. Głupio mi było wspominać o tym ■■■, ona też nie domagała się, wiedziała przecież, że nie ukradną by to miś. Miała jednak pretensje -

- Na coś się zdecyduj. Albo masz w domu ciebie, albo przynajmniej jakąś rekompensatę za twoje wieczne działanie. Ale ani tego ani tego, to coś nie bardzo nam odpowiada.

Początkowo obiecywałem, robiłem nadzieję, później zrezygnowałem z tego. Każdy zaoszczędzony czy dodatkowy grosz wydawałem na drobiazgi dla jednej lub drugiej. Drobiazgi się rozpywały i było jeszcze gorzej. Widziałem to, że żona chodzi w porównaniu do innych skromnie ubrana, widziałem ubóstwo w domu, ale co mogłem na to poradzić.

W czerwcu żona podjęła pracę w Bibliotece Powiatowej. Zarabiała i zarabia niewiele, zawsze to jednak się liczyło i liczy w domowym budżecie. Powoli odrabialiśmy straty. Za jakąś nieoczekiwaną nagrodę kupiłem dywan do "dużego" pokoju. Po opłaceniu ostatniej raty pożyczki w kasie zapomogowo-pożyczkowej, wziętej zaraz po objęciu pracy na wkład do spółdzielni mieszkaniowej, wziąłem kolejną pożyczkę 5 tysięcy na pierwsze raty dużego zakupu ratalnego. Kupiłem telewizor, meble do kuchni i jeszcze coś z odzieży. Konto moje było mocno obciążone ale mieszkanie zaczęło wyglądać na mieszkanie. Pierwszego z pensji nic mi prawie nie zostało. Po opłaceniu raty w ORG-ie, mieszkania, świadczeń za światło i gaz, raty pożyczki i najpierw 600 a później 700 złotych miesięcznie za opiekę nad dzieckiem, zostawała nam do dyspozycji pensja A. A było tego niespełna półtora tysiąca złotych. Byłem jednak optymistą. Oby tak dalej a nie będzie źle.

### KIII. NAMYSZOWSKIE MUZY

Śród różnych form działalności i moich inicjatyw podjętych w Namysławie za ciekawą, uważam coroczne konkursy na twórczość artystyczną, o tematyce związanej z mikroregionem namysławskim.

Jak to najczęściej bywa rzecz zrodziła się z przypadku.



W styczniu 1967 roku, w rocznicę wyzwolenia Namysłowa odbywała się w PDK uroczysta sesja rad narodowych trzech szczebli/powiatowej, miejskiej i gromadzkiej/. Na tę sesję zobowiązani byliśmy przygotować program artystyczny. Dąłem odpowiednio tematycznie ustawioną składankę estradową, w której wystąpili: wspólnie z liceum ogólnokształcącym prowadzony przy PDK chór młodzieżowy, klub piosenki PDK i prowadzona przeze mnie estrada poetycka. Ja prowadziłem konferansjerkę. Kiedy sobie w przed dzień imprezy ją przygotowywałem stwierdziłem, że potrzebny jest jakiś akcent wybitnie namysłowski. Namysłów nie ma jednak ani swego "regionu" ani innej współczesnej twórczości. Trzeba ją więc stworzyć. Potrzebna jest matka wynalazków. Ta maksyma może nie bardzo jest adekwatna do tego co później powstało, z potrzeby jednak zrodził się pierwszy "namysłowski" wiersz. Po prostu napisałem go tamtego wieczoru. Niedawno przeszukiwałem sobie stare taśmy i natrafiłem właśnie na na rano całej imprezy z owej sesji. Wykucyłem też tego wiersza. Był... okropnie słaby, był jednak nazwijmy to...sympatyczny. Trochę liryczny, trochę realistyczny, trochę poetycki. Oczywiście nikt nie zdążył się go nauczyć, zresztą do głowy mi nie przychodziło nakłaniać kogoś do uczenia się na pamięć tych wycieczek. Zamknąłem go przeczytać w ramach wiążącego słowa konferansjera i dlatego nawet nie był przepisany na maszynie.

Ten "doniośle" akt miał nastąpić pod koniec programu. O dziwo, na sali było cicho jak maknem zasiał i zażenowały mnie huczne oklaski po zakończeniu tej czytano-recytacji. Tu muszę dodać, że trochę wprawki do wierszowania miałem. Pisałem wierszyki do szkolnych gazetek, pisałem parafrazy znanych dzieł klasyki i piosenek, "tworzyłem" co nie co w czasie pracy w Rydzynie, jeden mój wiersz znalazł się nawet swego czasu na łamach "Orki". Potem w Strzelcach pisałem przeciek, co prawda nie poezje, teksty dla "Jamnika". Trochę więc wprawy było, do tego doszło konkretne zamówienie i skoro sam uznałem wiersz za godny przeczytania na uroczystej sesji to jednak taki najgorszy nie był.

Po programie przyszedł do mnie prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Namysłowskiej, wielki fanatyk tego regionu, jeden z tych prawdziwych działaczy, i... poprosił mnie o przeczytanie tekstu. Dałem mu i przez to nie mam poza tąmą żadnego śladu tego pierwszego dzieła.

O wierszu tym jeszcze parę razy słyszałem różne opinie, z których najmilsza była chyba od faceta, który zaczepił mnie wychodzącego z restauracji z obiadu. Ja byłem trzeźwy a on nie.

- Panie kierowniku, pan mnie nie zna chyba, ale ja pana znam - rozpoczął zwykły w takiej sytuacji bekkot

- Bardzo się cieszę i ... śpieszę...

- Pan musi się ze mną napić...

- Nie mogę. Spieszę się.

- Po co się spieszyć. Panie kierowniku. Pan mnie... pan mnie wzruszył...

- O !

- Co się pan dziwi ? Wszystkich pan wzruszył...

- Czym?

- Pan czytał tam na scenie taki fajny, ten wiersz...

- Jaki wiersz ?

- Co pan udaje. Taki wiersz, o wagonie...

Teraz zrozumiałem o co mi chodzi. Rozmowa ta miała miejsce gdzieś w miesiąc po wspomnianym programie. W wierszu faktycznie była mowa, spróbuję to streścić, o jakimś kolejowym wagonie, który przez jakiś czas nie był w Namysłowie i teraz przetaczany przez namysłowską stację zauważył budowane w niedalekiej odległości osiedle mieszkaniowe.

- Teraz sobie przypominam. Dziękuję, że i pan pamięta. To pan mnie wzrusza ...

- Pan się musi ze mną napić. Panie, ja nojej starej ten wiersz ... opowiedziałem.

- Nie dość, że mnie pan wzrusza to jeszcze zawstydzają...

- Panie, między nami poetami, chodź pan do bufetu...

- To znaczy, że pan pisze wiersze ?

- Coś pan, panie kierowniku, czy na takiego wyglądam? Ja jestem, panie kierowniku namysłowskiak. Panie kierowniku, od 45 tu mieszkam, prawie pierwszy transport, od czerwca tu jestem, panie co tam, chodź pan do bufetu ...

Próżność mnie zgubiła. Dałem się namówić. Nie skończyło się na jednym kieliszku, połażo się trochę więcej "ognistej". Z rozmowy z nim wyciągnąłem jednak jeden wniosek. Tym ludziom, wyrwanym na skutek dziejowych wydarzeń z ich kulturowych tradycji, potrzebna jest tradycja nowa. Nie tak nie wpłynie na ostateczne zintegrowanie tej "wieży Babel" jak własna regionalna kultura. Im potrzebne są piosenki o sobie, o swoim mieście, wiersze, które będą pokazywały tę ich Ziemię.

Z tymi wnioskami udałem się do prezesa "miłośników", który był jednocześnie przewodniczącym ZP MZS. Przedstawiłem mu propozycję organizowania co roku z okazji Dni Kultury Ziemi Namysłowskiej /wtedy już wiadziiano, że będą II DKN i właśnie rozpracowywano ich program/ konkursów na twórczość artystyczną. Zapropnozowałem aby patronowało konkursom MZS i MZS. Zgodził się i postarał się załatwić środki na nagrody z Zarządu Wojewódzkiego MZS. Otrzymał 5 tysięcy złotych i co roku ZP tą sumą gwarantował nam w budżecie ZP MZS. Postanowiliśmy konkurs organizować w następujących dziedzinach: poezja, piosenka /muzyka i tekst/, fotografia i sztuki plastyczne. Opracowałem szczegółowy regulamin, projekt afisza i po paru tygodniach mieliśmy w sumie 110 prac. Najwięcej było fotografii. Było jednak około 10 utworów poetyckich, chyba z pięć piosenek. Nie wszystkie nadawały się do publicznej "produkcji", biorąc i tak zanizone kryteria, chociaż wcale nie takie niskie.

W pierwszym konkursie 1967 roku wśród utworów poetyckich pierwsze miejsce przyznano wierszowi zatytułowanemu "Prośba do Widawy". Widawa to rzeczka przepływająca przez miasto i wpadająca we Wrocław-

wiu do Odry. Pozwolę sobie ten wiersz cały zacytować:

Gdy będziesz Widawo  
do bram Wrocławia pukać  
I potem, gdy już jako Odry fala  
płynąć będziesz przez żyzny Śląsk zielony  
Gdy Głogowa segnać będziesz mury  
I gdy z prapolską się spotkasz Wartę  
Gdy Szczecinowi się pokłonisz  
I gdy tonąć będziesz w Bałtyku  
rozgłaszaj  
że jak Warta Poznania  
Wisła Warszawy  
a Odra Opola  
tak ty jesteś  
rzeką Namysłowa

Tu dla jasności dodam, że nie jestem autorem tego wiersza. Pisali ludzie, których nigdy bym o to nie podejrzewał. Nie najgorzej były piosenki. Na przykład fragment tej, której autorem jest, wówczas liczący 18 lat, chłopiec:

.... Czy to ważne, że cicho i pusto,  
że autostrad, wieżowców tu brak,  
że Widawa nie błyszczy jak lustro -  
my Namysłów kochamy i tak.

Z pierwszego planu konkursu wybrałem co ciekawsze pozycje i zmontowałem z tego kilkunastominutowy programik, którego premiera odbyła się w DRK w maju 1967 roku, w czasie uroczystego posiedzenia ZP TRZ. z okazji 10-lecia działalności tej organizacji. Pamiętam słowa wypowiedziane wówczas przez niekijącego już dziś, znanego działacza walczącego o polskość Ziemi Opolskiej, Teodora Gadzińskiego. Ze szczerym wzruszeniem mówił on wówczas:

- Widząc i słysząc te młode dziewczyny i tych młodych chło-

paków, tak pięknie mówiących i śpiewających o swoim mieście i swojej Namyskowskiej Ziemi, czułem jak ze wzruszenia ścisną mi się gardło. "Nie chce się wierzyć, że dziś, kiedy wszyscy śpiewają big-beatowe szlagiery, młodzi namyskowanie mogą i umieją śpiewać piosenki, które muszą stać się bliskie każdemu, kto je usłyszy. Bo robią to z taką pasją, z jaką wcześniej ktoś te utwory pisał. Gratuluję Namysławowi, wspaniałej młodzieży i naprawdę kochających i uczących kochać swą Ziemię działaczy...

Byłem tym wystąpieniem nierniej wzruszony niż sam pan Teodor.

Na sali siedziała cała namyskowska "władza" i wielu zaproszonych gości z Opola, "Pierwszy" też zabrał głos, na pewno nie był krytykiem literackim. Nie o to przecież chodziło nam, jako autorom konkursu, aby tworzyć literaturę. Chcieliśmy tworzyć coś, co odpowiadałoby dawnej twórczości ludowej, tylko w mocno współczesnej formie i bardziej na pewno liczyły się treści a nie wartości formalne. Tak pojmując rzecz możemy mówić o sukcesie. Sekretarz jednak trochę na wyrost nazywał autorów poetami. Ważniejsze i cenniejsze było jednak jego stwierdzenie:

- To jest towarzysze już nie tylko zabawa, to jest dobra robota polityczna. Niech ci na Zachodzie wiedzą, i zrobią wszystko, żeby się dowiedzieli, że my tu nie tylko domy budujemy. My tu budujemy nowe społeczeństwo! A społeczeństwo bez własnej kultury jak bez języka nic nie znaczy. Od dziś jesteśmy bogatsi.

Powodzenie pierwszego konkursu spowodowało, że odbywają się one co roku zasilając namyskowską skarbnicę kulturalną ze-  
spokani w programach artystycznych. Jak ulał przydała się w tym roku w czasie "Festiwalu Powiatów". Ale do tego wrócę...

#### XIV. KRACH !

---

Zaaklimatyzowałem się w Namysłowie już całkowicie. Poprawiła się też po dwóch latach pracy trochę sytuacja finansowa. Iwonka chowała się znakomicie. Mimo swoich dopiero dwóch latek świetnie mówiła, nie chorowała. Była do mnie bardzo przywiązana. Bardzo mnie to i cieszyło i ...sprawiało kłopot. Każde pożegnanie odbywało się przy akompaniamencie wielkiego płaczu. Sytuacja poprawiła się zresztą dopiero od niedawna. Teraz można jej już wytłumaczyć, że tatuś wychodzi tylko do pracy i zaraz wróci. To "za-raz" ma bardzo różnoraki wygląd, ale nigdy nie jest zgodne z ogólnie przyjętym dla tego słowa znaczeniem. A co parę tygodni żegnam moje panie na kilka dni...

W 1967 roku zgłosiłem się na studia na specjalnie dla kadry kulturalno-oświatowej powołanym kierunku "wiedza o kulturze" na Uniwersytecie Łódzkim. Są to studia magisterskie z pedagogiki z dużym ładunkiem tematyki związanej z historią kultury, sztuką w różnych dziedzinach, socjologią pedagogiką w różnych "odmianach".

Examinaty wstępne złożyłem w czerwcu. A od października już dodatkowe godziny pracy, które trzeba spędzać nad książkami i notatkami z wykładów. Co trzy tygodnie odbywają się zajęcia na uczelni. Trwają trzy dni, co łącznie z dojazdem powoduje, że co trzy tygodnie brakuje mi w pracy czterech dni, które trzeba nadrobić a do tego dochodzą te nocne godziny nauki. Przez pierwszy rok było to szczególnie trudne. Odwykło się od systematycznej pracy z książką. Trzeba było sobie ten nawyk na nowo wyrobić, nauczyć się pewnych wyrzeczeń, odmawiać sobie choćby tego skromnego relaksu przed telewizorem.

Jakoś to szło. Pierwszy rok przeszedłem bez żadnych

kłopotów, o ile nie liczyć znowu pogarszającej się sytuacji finansowej. Co prawda miałem zapewniony zwrot kosztów podróży za każdy wyjazd, ale do tego dochodzą przecież koszty znacznie droższego w Łodzi niż w Nasysławie utrzymania, hoteli i innych wydatków, których trudno unikać. Staraniem się więc oszczędzać na innych wydatkach aby tylko tu jednak nie przerywać, bo .... latka lecają a tu ciągle tylko natura.

W czerwcu 1963 roku nagle miłością do mnie zapakowało wojsko. Koniecznie chcieli mnie widzieć w mundurze, chociaż przez dwa miesiące, bo na taki okres miałem iść na ćwiczenia. Trudno. Najgorsze było to, że miałem iść w drugiej połowie czerwca a na ten właśnie okres otrzymałem po raz pierwszy wczasy rodzinne i to w Krynicy Morskiej. Nie chodziło mi o mnie. Chciałem dla Ali i Iwonki koniecznie pojechać.

Ale jak pech to pech.

W wyznaczonym dniu zgłosiłem się na badania lekarskie, które rozpoczynały się od rentgena. Zostałem "uratowany". Po długich oględzinach skreślono mnie z listy "Szwejków" i ...zapisano do kartoteki prąchośni przeciwgruźliczej. Okazało się, że człowiek nie jest z celaza a i to przecież rdzewieje i poddaje się korozji. Nie był stan tragiczny. Do Krynicy pojechałem, chociaż lekarz, nie znając jeszcze dokładnych wyników, bo prądkowania bezpośredniego na szczęście nie było, na wszelki wypadek zakazał mi opalania się. Mimo więc wspaniałej pogody, pięknego czerwcowego słońca, wróciłem z plecami tak samo białymi z jakimi pojechałem.

Ważne było dla mnie, że I [redacted] kapała się w morskiej pianie, płynęła statkiem, że mieliśmy nareszcie czas na krenek i spacery.

Pod koniec sierpnia przyszły wyniki z posiewów. Były na szczęście ujemne, czyli że tragedii nie ma albo ... jest. Bo jeśli to nie gruźlica to w takim razie ... Co prawda to nie choroba dziedziczna, ale ojciec przecież zmarł na raka płuc.

Przypadkowo o mojej chorobie dowiedział się zastępca przewodniczącego Prezydium WRN.

- Pójdiesz do szpitala. - powiedział mi w przerwie jakieś narady.

- Załatwię ci miejsce, powiedz tylko od kiedy.

Dałem znać, że idę i podałem termin na początek stycznia 1969 roku.

Znalazłem się w szpitalu w Szyminowie w powiecie strzeleckim. Opiekę miałem zapewnioną znakomitą a fakt, że trafiłem tam "z protekcji" spowodował wiele dodatkowych ... cierpień.

Przeprowadzone w szpitalu badania wykazywały jak poprzednio zmiany w płucach ale nie potwierdzały gruźlicy. Normalnie takiego delikwenta odsyłano do domu. Mnie nie. Wysłano mnie do szpitala wojewódzkiego w Opolu na przykry zabieg zwany bronchoskopią. Spowodowało to u mnie także załamanie psychiczne. Wiedziałem, że na bronchoskopię kieruje się podejrzanych o raka. A więc krach. Zostało mi trochę życia. Co z nim zrobić? Tyle rzeczy jest do załatwienia. Co się stanie z I [redacted]? Ma dopiero pięć latek. Jeśli wtedy chciałem bardzo żyć, to tylko dla niej.

Po kolejnych paru tygodniach woła mnie do siebie miła pani ordynator -

- Mogę panu pogratulować - powiedziała faktycznie uradowana.

- Dziękuję, tylko czego? - spytałem

- Ma pan zwyczajną, najzwyczajniejszą w świecie ...gruźlicę ..

Edziwił mnie ten w jakim mówiła mi o tym, że jednak padłem ofiarą tej paskadnej choroby.

- Nie rozumiem, pani doktor. Pani się z tego cieszy. Mnie to szczerze martwi. Pani mi gratuluje ...

- Bo jest czego. Co prawda tłumaczyłam panu jak mogłam, że na raka to ma pan jeszcze wiele czasu, że za młody pan na niego, ale wszystko na niego wskazywało. Widzi pan. Z gruźlicy to my pana wyleczymy. Z tamtego nie bardzo by to się nam udało. Jest się więc z czego cieszyć...

Byłem w szpitalu do końca kwietnia.



Trochę przytyłem i wypocząłem. Studiów nie przerwałem. Dojeżdżałem do Rodzi ze szpitala. Przede mną był długi urlop chorobowy. Początkowo się z tego cieszyłem. Bardziej jeszcze I [REDACTED]. Odbywaliśmy długie spacery, pływałem na kajakach na zalewie Wiławy, chodziliśmy do kawiarni na kren, w domu robiliśmy ZOO, ulice, zamki z klocków. Nareszcie I [REDACTED] miała "swojego tatusia". Asystowała mi też często w codziennych odwiedzinach w przychodni, gdzie otrzymywałem przez jakiś jeszcze czas zastrzyki. Współczuła mi strasznie.

Po okresie lenistwa pociągnęło jednak wilka do lasu. W pedaku bywałem prawie codziennie. Pomagałem w rozwiązywaniu aktualnych kłopotów. Były to jednak tylko wizyty. Chciało mi się już pracować.

#### XV. TURNIEJ

Jesienią 1967 roku odbywało się Walne Zebranie Towarzystwa Miłośników Ziemi Namysłowskiej połączone z posiedzeniem plenarnym Zarządu Powiatowego TRZZ. Postanowiono wówczas dokonać personalnego rozdziału obu organizacji. Dotychczas posiadały one wspólny zarząd a właściwie jeden zarząd. Prezes TRZN był jednocześnie przewodniczącym ZP TRZZ, podobnie sekretarz, skarbnik i pozostali członkowie zarządu. W działalności trudno było rozstrzygnąć co TRZZ-owskie a co "miłośników". Nie twierdzę by to było sło, władze powiatowe z pewnych względów, oficjalnie nikomu nie ujawnionych, chciały inaczej. Dokonano wyboru dwóch zarządów. Dotychczasowy szef został w dalszym ciągu prezesem "miłośników" abdykując w TRZZ. Na to miejsce wybrano mnie. Bronikiem się przed którąś z kolei funkcją. Przed paroma tygodniami podjąłem przecież uciążliwe i

czasochłonne studia. Organizacja TRZZ-owska w Namysłowie miała spore osiągnięcia i to głównie dzięki osobistemu wkładowi dotychczasowego przewodniczącego. Nie chciałem jego roboty zawalać. Jak to jednak zwykle bywa przekonywano mnie o wszechstronnej pomocy i uległem. Po jakimś czasie przekonałem się, że liczyć mogę na pomoc przede wszystkim tych, którzy byli powściągliwi w obietnicach i odwrotnie, ci którzy najbardziej o pomocy zapewniali szybko o tym zapomnieli. Była jednak grupa aktywnie pomagająca mi w przeprowadzaniu takich poczynań jak odczyty i spotkania, wystawy, pogadanki w szkołach z młodzieżą. Pomagali mi również w dość trudnej pracy organizacyjnej głównie na zapewnieniu niezbędnych środków finansowych na działalność.

Jedną z oryginalnych form naszej działalności było kontynuowanie konkursów na twórczość regionalną o tematyce "Ziemia Namysłowska". Konkurs wszedł już na stałe do kalendarza nie tylko TRZZ ale w ogóle "kultury" w powiecie.

Wręczenie nagród laureatom odbywa się co roku w maju w czasie uroczystego posiedzenia plenarnego ZP TRZZ w czasie Tygodnia Ziemi Zachodnich i Północnych i trających w tym czasie Dni Kultury Ziemi Namysłowskiej.

W 1969 roku zdążyłem jeszcze ze szpitala na ten uroczysty wieczór. Brali w nim udział nie tylko członkowie plenum, laureaci konkursów i zaproszeni przedstawiciele władz powiatowych. Zaprosiliśmy również dyrektorów i innych członków kierownictwa czterech największych w mieście zakładów i wręczyliśmy im zaproszenia do udziału w Turnieju Zakładów o Puchar 25-lecia.

Wstępny egzamin opracowałem już wcześniej. Turniej miał być w jakimś sensie kopią telewizyjnych turnirjów miast, z tym, że walczyć tu miały nie miasta a reprezentacje zakładów i to nie za pośrednictwem kamer telewizyjnych a w bezpośredniej walce na miejskim stadionie.

Wiedziałem, że organizacja turnirju wymaga wiele pracy i ...

środków finansowych i wielmu mnie przed decyzją oficjalnego ogłoszenia turnirju powstrzy mywało.

Liczyłem na kolegów z zarządu i na ...swoją urlop chorobowy. Czasu miałem przecież sporo. Mogłem się zająć turnirjem bez żadnych ograniczeń. Obliczyłem też, że wydatki nie będą wcale tak wielkie. Inicjatywa spodobała się adresatom zaproszeń ale nie dali wówczas definitywnych odpowiedzi o ich przyjęciu. Sprawa wymagała konsultacji z aktywnym zakładowym.

Ostatecznie jeden zakład się wycofał i turniej rozegrany został jako trójmecz trzech zakładów. Przystąpiły do niego: browar - najstarszy w mieście zakład produkcyjny, jego początki sięgają aż 1342 roku, bo z tamtego roku pochodzą pierwsze zapiski o warzeniu piwa w Namyskowie, podobno właśnie browar był pierwszym po wojnie uruchomionym zakładem w mieście i produkował na początku .... prąd elektryczny i wodę. Drugim zakładem było Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane.

Właśnie w grudniu obchodziło swoje dwadziestolecie. Od kilku pracowników w roku 1950, rozrosło się do poważnego przedsiębiorstwa. To dzięki temu zakładowi Namysków w niczym nie przypomina już miasteczka z 1945 roku. Jego pracownicy głównie, Namysków odbudowali ze zniszczeń i wnosząc nowe budynki zmieniali jego obraz. Wreszcie trzecim uczestnikiem turnieju były Zakłady Elektrotechniki Motoryzacyjnej. Zakład najmłodszy ale o największych perspektywach, zatrudniający już dziś około 500 osób czyli najwięcej w mieście. ZEM produkują prądnice do różnych typów samochodów, sprzęgia samochodowe i motocyklowe i inne jeszcze części dla przemysłu motoryzacyjnego.

Zakład przewidziany jest do dalszej rozbudowy i prawdopodobnie on będzie w przyszłości stanowił o charakterze miasteczka.

Taki układ uczestników turnieju umożliwił nam postawienie założenia, że impreza mimo swego rozrywkowego charakteru będzie

nie tylko okazją do rywalizacji typu sportowego. Miała być według naszych propozycji obrazem osiągnięć tych zakładów na tle przesłan jakiego w ogóle naszkicy w mieście i w kraju.

Temu zadaniu służył już sam dobór konkurencji turniejowych. Było ich w sumie 15, bardzo zróżnicowane w formie i treści. Doboru konkurencji dokonaliśmy wspólnie z delegacjami zakładów spośród około 25 przedstawionych zakładom propozycji. Niektóre były oryginalne, pierwszy raz dopiero właśnie na turnieju rozgrywane, inne miały albo swoje pierwowzory albo po prostu powtórzeniem gdzieś już rozgrywanych. Wspólnie wybrano 13 konkurencji. Dwie pozostałe narzuciliśmy uczestnikom. Pierwsza to "żywa wystawa zakładu" a druga była niespodzianką dla wszystkich do chwili jej ogłoszenia na stadionie.

Zrobiliśmy wszystko aby turniej miał odpowiednią reklamę. Oprócz afiszów o turnieju informowała co jakiś czas "Trybuna Opolanka". Na kilka dni przed turniejem, a rozegrano go w niedzielę popołudniu 14 września, w dużym oknie wystawowym Domu Książki wystawione zostały trzy okazałe kryształowe puchary na tle olbrzymich, wielkości arkusza bristolu każdy, oryginalnych dyplomów. Były to turniejowe trofea, "fundowane" przez ZP MZZ. Faktycznie nagrody zafundowały sobie same zakłady. Oplaciły one przed turniejem wpisowe po 1000 złotych każdy. Na te właśnie pieniądze zakupiliśmy trzy różnej wielkości puchary i opłaciliśmy wykonanie po kosztach materiałów wspomnianych dyplomów.

Wszystkie inne koszty "rozplynęły się" w wydatkach uczestników turnieju i jego współorganizatorów. Właściwie wydatków nie było. PDK zradiofonizował stadion, PKRiP dał społecznie pełniących obowiązki sędziów podobnie jak Inspektorat Ruchu Drogowego KP MO, nie otrzymali żadnego wynagrodzenia pełniący porządków oh OZMO-woy i pomagający przy organizacji pracownicy PDK. Stadion udekorowany

został solidarnie przez uczestniczące w turnieju zakłady. Część rekwizytów potrzebnych do przeprowadzenia poszczególnych konkurencji wykonana została w zakładach, część przez pracowników PDK a te, które musiały być zakupione albo otrzymaliśmy w prezencie od prywatnych właścicieli sklepów albo wypożyczono nam z WSS.

Jurorami turnieju, oczywiście społecznie, byli trzej dyrektorzy innych niż uczestniczące w imprezie zakłady, trzej przedstawiciele uczestników i jako przewodniczący jeden z założycieli organizacji powiatowej TZZ, członek Prezydium Zarządu. Inni członkowie zarządu pełnili różne odpowiedzialne funkcje organizacyjne a mnie przypadła miła ale i trudna jednocześnie rola prowadzącego turniej. Rozpisałem się o wydatkach, kosztach i pieniądzach nie przypadkowo. Nigdy nie udałooby się zorganizować tej imprezy gdyby nie olbrzymi społeczny wkład dużej, często anonimowej grupy ludzi, którzy na nasz apel nie zadali tak częstego pytania: za ile?, lecz z dużym poświęceniem przyczynili się do powodzenia jednej z najciekawszych imprez odbytych w Namyskowie w ciągu kilku lat.

Czy to stwierdzenie nie jest dane na wyrost? Chyba nie, ale kolejno.

W czerwcu ustalone już zostały konkurencje turniejowe, rozdzielono zadania i przystąpiono do pracy. Oczywiście w związku z urloпами nie była ona prowadzona w galopującym tempie ale z tym się przecież liczone. W pierwszej połowie sierpnia byliśmy całą trójką /A, I i ja/ na wczasach w Międzygórzu. Po powrocie już całkowicie zajętem się turniejem.

Odwiedzałem kolejno po kilka razy wszystkie zakłady. Dopinguwałem ich w treningach a stosowałem tu skuteczną, chociaż niezbyt ładną metodę "napuszczania". Po prostu w browarze mówili, że w ZEM-ie opanowali do perfekcji jakąś tam konkurencję, w ZEM-ie mówili to samo o MPR-B a w MPR-B o browarze. Wszyscy, oczywiście w tajemnicy, powierzali mi informacje o swoich atutach, ja tajemnic rywalom nie zdradzałem, ale tak kierowałem ich przygotowa-

niami, że szanse wszystkich się wyrównwały.

Jak wspominałem jedną z konkurencji była "żywa wystawa". Wypadła ona rzeczywiście imponująco i zaskoczony zostałem nawet ja.

Zgodnie z ustalonym programem zakłady miały ze swoimi reprezentacjami przybyć na godzinę 14 na rynek. Oprócz ludzi, miały to być typowe dla zakładów rekwizyty zainstalowane na samochodach, przyczepach traktorowych itp. Przyjechałem na rynek ze stadionu, gdzie byłem obecny przy próbie urządzeń radiofonicznych. Przyjechałem i nie wierzyłem własnym oczom. Ponad tłumem ludzi strzelały w górę MPR-B-owskie rusztowania zainstalowane na przyczepach, olbrzymia beka piwa, plansze, sztandary. Na jednej z przyczep grała GSP-owska orkiestra dęta /zapomniałem - tu kosztowało nas 600 złotych/. Wśród dziesiątków samochodów przybranych transparentami, haszami, planszami kręciło się kilkadziesiąt ubranych w trzech kolorowych zestawach postaci. Zaskoczeni zostali namyszkowianie. Wypełnili, mimo jeszcze obiadowej pory, rynek.

Przyznając, serce zabiło mi mocniej. Udało się. Wiedziałem już że impreza się uda. Wziąłem do ręki elektryczną tubę, wlażłem na jakiś wysoki samochód i zupełnie nieoczekiwanie w głośnikach przemówienie:

- Mieszkańcy Namyskowa ! Załogi browaru, MPR-B i ZSM-u !  
Rozpoczynamy imprezę inauguracyjną w naszym mieście, obchody 25-lecia powrotu Ziemi Opolskiej i całych Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy. Rozpoczynamy wielki Turniej Zakładów o Puchar 25-lecia, ufundowany przez inicjatora imprezy, Zarząd Powiatowy TRZE !

Witam sympatyczne załogi uczestników turnieju !

Witam wszystkich mieszkańców miasta na naszej imprezie !

Przed nami emocje koleżeńskie rywalizacji ludzi, którzy swą pracą, każdego dnia przyczyniają się do tego, że nasz Namysków staje się z każdym dniem bogatszy i piękniejszy.

Zapraszam wszystkich na stadion miejski! Wszystkim rywalom  
życzę zwycięstwa!

Nasz turniej się rozpoczął!

Podałem jeszcze trasę jaką miał przebyć korowód. Musie-  
liśmy ją w ostatniej chwili zmienić. Początkowo miała ona prowa-  
dzić z rynku do placu Wolności, następnie przez uliczki Śródmie-  
ścia ponownie do rynku i stamtąd na stadion. Niestety, trzeba ją  
było skrócić. Wysokie rusztowania nie mieściły się w historycz-  
nej Branii Krakowskiej. "Karawana" objechała więc tylko dookoła  
rynek i wyruszyła w kierunku stadionu, pociągając za sobą setki  
wizów. Ja wyruszyłem przed nią, żeby powitać na stadionie przy-  
byłych gości, w tym przewodniczącego ZW WRZZ.

Na stadionie też już było sporo widzów. Pogoda była wapa-  
niała, prawdziwa polska złota jesień, stadion pięknie udekor-  
wany, humory naszej ekipy doskonałe.

Po defiladzie, otwarciu imprezy i jednocześnie oficjalnej  
inauguracji obchodów 25-lecia powrotu do Macierzy, dokonał I-szy  
sekretarz KP PZPR / w 1968 roku nastąpiła zmiana na tym stano-  
wisku/. Przemówienie było krótkie i przystąpił do turniejowej  
walki. W międzyczasie jury dokonało oceny pierwszej konkurencji  
- prezentacji zakładu w korowodzie. Wygrał całkowicie zasłuże-  
nie za pomysłowość i elegancję browar i na jego tablicy ukazała  
się pierwsza "trójka". Drugie miejsce zdobyło MPR-B a trzecie  
ZBN.

Pierwszą konkurencją rozgrywaną na stadionie był parami-  
litarny tor z pokonywaniem "terenów skażonych" pokonywanie pło-  
tów i rowów itp.

Potem następowały kolejne. Trudno je wszystkie opisywać. Była  
więc sztafeta rodzinna, w której startowali: dziadek, ojciec,  
matka i dziecko. Zakłady musiały dobrać takie rodziny, żeby  
wszyscy dorośli byli zatrudnieni w ich przedsiębiorstwach.  
/dziadkowie mogli być emerytami/. Każdy członek sztafety wyko-

nywał inną czynność. Konkurencja bardzo widowiskowa ale dająca też duże szanse popularyzowania ludzi i przypomnienia, że już trzecie pokolenie żyje w naszym mieście. Przypomniałem też rolę pokoleń. Dziadkowie odbudowali miasto ze zniszczeń, ruszyli produkcję, rodzice kontynuują ich dzieło a przyszłość należy do tych, którzy na razie dzielą czas na naukę i zabawę.

Ciekawą konkurencją był konkurs na reklamę zakładu. W ciągu minuty przedstawiciel zakładu miał w sposób dowcipny a jednocześnie pełny treściowo zaprezentować swój zakład. Zwyciężył murarz z MPR-B.

Barwy swoich zakładów bronili również dyrektorzy. Ich zadaniem było strzelanie bramek z "karnego" neutralnemu bramkarzowi. Konkurencja zakończyła się remisem. Wszyscy na pięć strzałów zdobyli dwie bramki. Było to dużą niespodzianką. Nikt nie dawał szans dyrektorowi MPR-B, znacznie starszemu od swoich kolegów, którzy w dodatku byli kiedyś wyczynowymi sportowcami. Wziął ich fortelem, jakby powiedział Zagłoba. Wyszedł do konkurencji we fraku, cylindrze z laseczką w rękę/wypożyczonym mu to z Teatru Ziemi Opolskiej/. Oczywiście ukazanie się dyrektora w tym stroju spowodowało wesołość na trybunach ale także u rywali. Byli tak zdekoncentrowani, że strzelali mało precyzyjnie a wykonujący rzuty karne jako ostatni "pan w cylindrze" strzelając w nieskoordynowany sposób "z czoła" również dwukrotnie zaskoczył zupełnie dobrego bramkarza.

Były jeszcze inna konkurencja piłkarska. Po raz pierwszy na świecie rozegrano mecz piłkarski z udziałem ... trzech drużyn jednocześnie. Grano na jedną bramkę a drużyny liczyły po trzech zawodników. Zadaniem piłkarzy było strzelenie samemu, bramki, której bronił neutralny goalkeeper, i niedopuszczenie do strzelenia jej przez rywali. Mecz trwał tylko 10 minut, ale dostarczył widowni więcej emocji niż niejeden pierwszoligowy pojedynek. Po prostu na normalnym meczu zupełnie niemożliwe



są sytuacje jakie tu miały miejsce. Rzecz bardzo widowiskowa.

Podobnie samochodowy tor przeszkód. Kierowcy na "auktach" pokonywali skomplikowany tor, ustawiony przez speców z "drogówki".

Jedyni z ciekawszych konkurencji były te, które nazwaliśmy "dla elity". Dyrektorzy kopali piłkę, sekretarze POP i przewodniczący rad zakładowych pikowali w parach kloce drzewa a najpozyteczniejszą pracę wykonywali główni księgowi. Zrobiliśmy im polikasa. Gdy rozpoczynaliśmy dyskusje o turnieju księgowi się solidarnie mu sprzeciwili, twierząc, że poektonie on nie wiadomo jakie wydatki. Postanowiliśmy ich "ukarać". Sami siedzicie na pieniądzach i dać nie chcecie, zobaczycie jak to miło zbierać je od innych. Wymyśliłem im kwestę na SFBŚiI. Rzecz polegała na tym, że w wyznaczonym czasie księgowi na 5 minut udawali się na widownię z otrzymanymi woreczkami. Towarzyszili im "opiekunowie" - przedstawiciele rywali a ich zadaniem było pilnować, aby księgowi sami nie uzupełniali zawartości woreczka. W konkurencji liosyły się tylko monety jednozłotowe. W ciągu tych pięciu minut księgowi zebrali łącznie ponad 1540 złotych, które przekazaliśmy na konto SFBŚiI.

W ogóle konkurencje dla elity, poza walorami widowiskowymi, miały duże znaczenie wychowawcze. Załoga widziała, że dyrektor, sekretarz POP czy inni walczą tak samo jak szeregowy urzędnik czy robotnik o taki sam punkt dla swego zakładu.

Impreza kończyła się o zmroku. Przewodniczący SW TISZ dokonał wręczenia pucharów. Zwyciężyła załoga ZEM, drugie miejsce zajęło MPB-5 i trzeci browar. Różnice punktowe minimalne i do ostatniej konkurencji nie było wiadomo kto zwycięży. Oczywiście taki układ jeszcze bardziej podnosił widowiskowość turnieju. Dyrektor ZEM-a razem ze zwyciężkim pucharem uniesiony został przez pracowników i niesiony przez cały stadion. To jeszcze jeden dowód, jak bardzo zwycięstwo się liczyło, jak wielka była ranga turnieju.

Byłem zupełnie wykończony. Ponad trzy godziny gadania. W gardle zasychało, pod koniec już porządnie ochrypłem. Zmęczenie

poczuciem dopiero w momencie, kiedy po "do zobaczenia na rewanżowym turnieju" odłożyłem mikrofon.

Bezpośrednio po turnieju w klubie POK zorganizowaliśmy spotkanie organizatorów imprezy, na które poprosiliśmy gości z Opola i namysłowskie władze. Dokonaliśmy na gorąco krótkiej oceny. Wszyscy byli szczerze zachwyceni.

Pierwszy sekretarz KP powiedział:

- Mieszkam w Namysłowie od lat. Widziałem już różne akademie okolicznościowe, ale tak dobrej jak ta, która akademią przecież być nie miała, jeszcze nie widziałem. Co dziwniejsze, to odbyło się bez jakiegokolwiek popychania przez Komitet. Gratuluję działaczom TRZZ. Zrobiliście wspaniałą robotę.

Przewodniczący SW TRZZ powiedział między innymi:

- Chyba nigdy dotąd społeczeństwo Namysłowa nie miało tak wspaniałej okazji zapoznać się z działalnością naszej organizacji. To była nasza świetna wizytówka. Wykonać ją mogli tylko fanatycy społecznej pracy. Jak to dobrze, że mamy ich właśnie w TRZZ.

Były to miłe dla ucha pochwały. Pełną satysfakcją poczułem jednak dopiero po wystąpieniu dyrektora browaru -

- Nie będę tu bujał, bo jesteśmy sami swoi i nie by to nie dało. Przegraliśmy w punktach, przykro, ale nie to jest ważne, zresztą w rewanżu wam wszystkim odpowiednio spodnie spierzemy. Ważniejsze jest to, że wstyd się przyznać, ale ja najmniej w naszym zakładzie dla turnieju zrobiłem, chociaż taki zupełnie bezrobotny też nie byłem. Nie wyobrażacie sobie jak ludzie u mnie byli przejęci. Gdyby im kazał nawet za pieniądze nadgodziny robić, żadnego by nie było. Tym razem nie. Sami siedzieli do wieczora, ćwiczyli, malowali plansze, tę wielką bekę złożyli przecież prawie z niczego. Pierwszy raz widziałem moją załogę naprawdę zgraną. Myśmy właściwie ten turniej też wygrali.

Tak, te słowa mogły cieszyć. Nięc nie była to tylko impreza widowiskowa. Była to praktyczna lekcja integracji załogi.

O to nam przede wszystkim chodziło.

## XVI, FESTIWALOWY SUKCES

W listopadzie wróciłem do pracy. Nie na długo. Tym razem wysiadły mi nerki. Ostre ich zapalenie dało mi się mocno we znaki. Prawie cały grudzień spędziłem na szpitalnym łożu. Tam też stała mi wiadomość o zainicjowanym przez redakcję "Trybuny Opolskiej" Festiwalu Powiatów, imprezy mającej być przeglądem dorobku wszystkich powiatów Opolezczyzny w 25-lecie Polski Ludowej. Regulamin imprezy przewidywał, że począwszy od 5 kwietnia co niedzielę kolejny powiat miał na opolskim placu Wolności zaprezentować swoje bogactwo w takich dziedzinach jak rzemiosło, usługi, drobny przemysł, warzywnictwo no i kultura we wszystkich swoich odmianach. Zgodnie z przeprowadzonym w redakcji losowaniem jako pierwszy miał wystąpić w Opolu powiat namyśkowski.

Oczywiście ambicją władz i chyba wszystkich mieszkańców było zaprezentować się możliwie najlepiej opolanom i jurorom. Od pierwszych dni, jeszcze nawet w czasie pobytu w szpitalu, wciągnięty zostałem w wir festiwalowego młynka. Nawet nie przepuszczając wtedy jak bardzo całe pół roku związany będę z tą imprezą.

Niezależnie od wielu zadań jakie miałem do wykonania, wynikające z przynależności do komitetu organizacyjnego na moje barki spadło prawie całkowicie przygotowanie części imprezowej naszej ekspozycji. Wymagania były wielkie. Należało imprezami na estradzie wypełnić czas od ósmej rano do ósmej wieczór.

Program winien być możliwie zwarty, atrakcyjny w formie i treściowo związany z regionem. Właśnie teraz bardzo przydatne okazały się nasze konkursy na utwory poetyckie i piosenki o tematyce namyskowskiej.

Przygotowania zajmowały ni nie tylko czas pracy ale również bez reszty czas wolny, mało, kradkiem ile się dało z czasu przeznaczanego normalnie na sen. Efekty były widoczne. Muzycznie przygotowywany program nabierał kształtów i mogliśmy bez kompleksów pójść z nią na opolską estradę. Gorszej było z innymi działkami ekspozycji. Nie wszyscy wykazali się poświęceniem dla sprawy swego miasta i powiatu. Byliśmy jednak gotowi. W piątek 3 kwietnia pierwsze ekipy wyruszyły w kierunku Opola. Wiozły elementy scenograficzne, plansze, stoiska. Zastali na miejscu zamiast pięknej wiosennej trawy śnieżny kobierzec. Śnieg, który nagle spadł z nieba walił teraz jak w lutym. W sobotę się nie poprawiło. Na drogach powstały okropne zasy. Nie było możliwości nie tylko występu naszego w Opolu, ale nawet dojazdu doń. Nie zainaugurowaliśmy festiwalu. Uczyniło to w tydzień później Oleśno. Oczywiście pojechaliśmy podpatrzeć, podobnie jak w następną niedzielę wstęp Grodkowa.

Nam przesunięto termin na 28 maja, w świąteczny /Boże Ciało/ czwartek. Termin niezbyt szczęśliwy ale innego nie było. Mogliśmy więc trochę odsapnąć, odespać zarwane noce, nabrać trochę siły i rutyny. Nasze programy festiwalowe pokazałyśmy mieszkańcom Namyskowa w czasie majowych Dni Kultury.

Od połowy maja pogotowie. Znowu wzrastające napięcie. W piątek, czyli niepełny tydzień przed wyznaczonym terminem otrzymaliśmy z Opola informację:

- Nie wystąpicie w Opolu a u siebie w Namyskowie !

To ze względów oszczędnościowych. Reprezentacje powiatów stanowiły kilkunastuosobowe grupy członków zespołów artystycznych, sprzedawców kiermaszowych stoisk, uczestników różnego typu spo-

tkną, porządkowych. Wszystkich trzeba było wieść dziesiątkami samochodów i autobusów do stolicy województwa. Do tego tyle samo samochodów potrzebnych było do przewiezienia różnego typu rekwizytów i innych materiałów. Dochłaniało to spore sumy. Aby więc zaoszczędzić powiatom wydatków, począwszy od nas kolejne powiaty miały już swoje ekspozycje organizować na własnym podwórku, dokąd dojeżdżała kilkunastoosobowa grupa jurorów i dziennikarzy.

Zostaliśmy tym mocno zaskoczeni. Nie mieliśmy nawet odpowiedniej estrady. Programy artystyczne przygotowane były "pod opolan". Zaszła więc konieczność szybkiego ich adaptowania na namyskowski "rynek". Znowu sarwane noce, bo oczywiście w dzień nie było czasu na takie rzeczy jak opracowanie koncepcji poszczególnych programów. W nocy się myślało - w dzień ponyszy przestaczało w konkretną formę programowe.

Czwartek 23 maja był wyjątkowo pięknym majowym dniem. Zbudowana na przelce estrada od samego rana otoczona była tysiącami widzów, mieszkańców miasta, powiatu i licznych gości z innych powiatów, co zresztą stało się tradycją tej imprezy.

Część imprezowa udała się znakomicie. Wspaniała dyscyplina około pół tysiąca wykonawców, miła atmosfera panująca od początku, życzliwy odbiór - sprawiły, że potknięcie było niewiele i nie miały one znaczenia dla ogólnej oceny programu. Furorę zrobiły przedszkolacki. Grupa III przedszkola nr 5, zbudowanego w czynię społeczną przez społeczeństwo miasta w 1965 roku, przygotowała przepiękny układ taneczno-gimnastyczny. Dzieciaczki wstępowały w programie "Namyskowska Trybunka" zredagowanej przeze mnie "żywej gazecie" o tematyce całkowicie związanej z Namyskowem. Ich występ był "świetelnym dodatkiem dla najjaśniejszych". Rozpoczęła występ przedszkolaków moja rozmowa z I [REDAKTOR], która właściwie "studiowała" w tej grupie. W rozmowę wpleciony był wierszyk. I [REDAKTOR], który jej kiedyś ułożyłem a teraz okazał się bardzo przydatny:

Jestem małą namysłowianką  
i bardzo kocham swoje miasto  
tak bardzo je kocham  
jak najlepsze z kremen ciastko

A tak bardzo jak czekoladki  
kubię z tatusiem przechadzi  
nad wielkie "namysłowskie morze"  
po którym nawet kajak pływać może

I bardzo lubię gdy słońko świeci  
bo wtedy wszystkie dzieci  
mogą bez żadnej przeszkody  
jeść wspaniałe namysłowskie lody.

Ten nadmierny regionalizm w ustach przedszkolaka nie brzmiał wcale sztucznie. Przeciwnie, bardzo wzruszał. Po rozmowie i wierszyku I. [redacted] wprowadziła na estradę ponad 20 swoich koleżanek i kolegów. Przy pięknym akompaniamencie i nieustających oklaskach, dzieci wykonywały bardzo trudny jak na ich wiek, układ i kończyły swój występ specjalnie na tę okazję napisaną piosenką namysłowskich przedszkolaków, której refren brzmiał:

...Bo my jesteśmy przedszkolacy,  
namysłowscy przedszkolacy,  
wcale nie tacy jacy tacy,  
tylko właśnie  
namysłowscy przedszkolacy.

Następnego dnia cała kolumna w "Trybunie Opolskiej" wypełniona była sprawozdaniem z imprezy a na pierwszej stronie olbrzymi napis donosił: "Najbliżsi bohaterami Dnia Namysłowa".

Ale nie tylko oni. Było tych bohaterów wielu, trudno ich wszystkich nawet tylko wspomnieć.

Dla mnie ten dzień był kolejną próbą ... organizmu. W przeddzień położyłem się spać po północy a już o czwartej rano wyszedłem z domu, bo na tę godzinę umówiłem się z ekipą radiofonizacyjną opolskiego RUT. Nad estradą zainstalowanych było kilkanaście mikrofonów. Nikt lepiej ode mnie nie wiedział w których właśnie miejscach je ustawić, zawiesić, które w odpowiednich momentach mają być czynne a które wyłączone, aby uniknąć sprzężania. Punktualnie o ósmej sygnał z wieży nad Krakowską Bramą dał początek imprezie. Od tego momentu tylko przez niewielkie okresy czasu miałem okazję odsapnąć. Prowadziłem osobiście pięć programów, w tym rewanżowy Turniej Zakładów z udziałem tych samych ekip co jesienią w imprezie TRZ. Tym razem oczywiście zmieniono scenariusz imprezy, wszystkie konkurencje /poza łowieniem ryb w fontannie specjalnie do jej basenu wpuszczonych/ rozgrywano na estradzie, co sprawiło, że turniej miał foraj kameralne.

Wieczorem zjadłem ...śniadanie a na obiad nie miałem już siły.

Byłem jednak bardzo zadowolony. Wiedziałem, że nie zawiodłem ani ja, ani bezpośrednio mi podległa grupa pracowników domu kultury, ani członkowie przygotowywanych przez nas zespołów artystycznych ani cała kompania współpracujących z nami działaczy kulturalnych.

Na każdym kroku spotykałem się z życzliwymi gratulacjami i podziękowaniami za przepiękny dzień. W kilka dni po czwartku wsiedliśmy na postoju do taksówki aby podjechać do domu. Gdy chciałem płacić za przejazd, taksówkarz zaskoczył mnie:

- Panie kierowniku, niech się pan nie gniewa za tę formę, bo to żadna zapłata czy nagroda te pare złotych, ale niech

pan chociaż to przyjąć jako rewanż za "festiwal". Siedzieliśmy z żoną prawie cały dzień przed estradą i nie mogliśmy wyjść z podziwu. Jedyne co mogły powiedzieć tu, to wyrazić życzenie, aby tego typu imprezy organizować częściej.

Byłem zdziwiony ale i wzruszony. Oczywiście z największą przyjemnością zrobikem jezu przyjemność i nie upierałem się przy zapłacie za kurs.

Po tych festiwalowych smogjach chciałem parę dni odpocząć /lekarz z przychodni też pochwalił za program i mówiąc ogólnie, skłócił za "wariackie szafowanie sirowiem"/. Niestety. Na początku czerwca zebrał się komitet organizacyjny "festiwalu" i wytypował kilkanaście zespołów z powiatów już występujących w Opolu lub u siebie do udziału w "Festiwalu laureatów Festiwalu powiatów", który był zgodnie z regulaminem zapowiadany na 22 lipca w opolskim amfiteatrze.

Z naszego powiatu wytypowano : przedszkolaków, najstarszy i przy tym bardzo dobry chór "Halka" z Bąkowie, obchodzący swoje 25-lecie istnienia, oraz cały program zatytułowany "Kwiaty znad Widawy", który u nas był tak zwanym programem galowym i takim samym miał być w Opolu, czyli miał kończyć całodzienny przegląd najlepszych zespołów artystycznych Opolszczyzny. W programie tym występowały następujące zespoły : 150 osobowy chór PDK prowadzony wspólnie z Liceum Ogólnokształcącym, klub tańca towarzyskiego PDK, klub piosenki, pedekowska estrada poetycka i pedekowski zespół muzyczny. Z żadnego powiatu nie zakwalifikowano tyłu zespołów co od nas. Na tym się jednak dodatkowa festiwalowa praca nie kończyła. Wyróżniono i osobiście mnie. Powierzono mi kierownictwo opolskiej imprezy. Było to wyróżnienie zaszczytne ale i zobowiązujące. Do mnie należało opracowanie scenariusza i reżyseria całodziennego programu a także w części jego prowadzenie. Zapewniano mi wszelkie udogodnienia w kontaktowaniu się z zespołami, kilkudniowe ich zgrupowanie, odpowiednie do potrzeb środki finansowe.



Zgodziłem się, bo jak odrzucić tak piękną propozycję. Powiedziałem o tym żonie. Nie muszę pisać jak to przyjęła. Wiedziała, że znowu będą nieprzespane noce, znowu obiady będą jedzone przy wielkiej okazji, znowu nic nie będzie ważne. Nie pomyliła się.

Kolejne niedziele spędzałem w Raciborzu, Niemodlinie i Kluczborku na ostatnich występach powiatów. Chciałem zapoznać się z zespołami występującymi na ich estradach i wspólnie z jurorami dokonać wyboru do koncertu laureatów.

Od początku lipca zamieszkałem w Opolu. Stamtąd miałem dojeżdżać do zespołów. Okazało się, że są jednak wielkie kłopoty. Wiele, głównie te oparte o młodzież szkolną zostało zdekompletowanych i trzeba było zrezygnować z ich udziału.

Najbardziej przykre dla mnie było zdekompletowanie "Kwiatów..." Młodzież licealna rozjeżdżała się na różnego typu obozy, wczasy i nie było możliwości występu. Bez chóru program brał w łeb. Musiałem myśleć nad inną "galówką".

Wielu zespołów nie udało mi się zobaczyć. Zapewniali mnie ich instruktorzy, że na pewno będą 22 lipca w Opolu, nie było jednak wcześniej możliwości zebrania zespołu na próbę. Robiłem więc scenariusz w ciemno, opierając się tylko na informacjach jurorów, instruktorów zespołów czy innych osób w jakiś sposób mogących mi przyjść z pomocą.

Scenariusz zapowiadał się atrakcyjnie. Nie byłem jednak optymistą co do samego programu. Okazało się, że zgrupowanie "artyków", choćby na jeden dzień, przekracza finansowe możliwości organizatorów. A przecież licząc na to scenariusz był opracowywany. W poszczególnych blokach występowało po kilka zespołów. Improwizacja mogła być bardzo urocza i emocjonująca, nie gwarantowała jednak powodzenia. "Trybuna" przez cały lipiec prowadziła kampanię reklamową imprezy. Rozpoczęło się od dnia, w którym podano oficjalne wyniki "Festiwalu Powiatów". Zwyciężyło Koźle przed Krapko-

wicami i Prudnikiem. Namysłów zajął zaledwie XII miejsce i wyprzedziliśmy tylko dwa powiaty. Jakże byłoby przyczyny? Niestety, namysłowska część kiermaszowa zdecydowanie odbiegała od pozostałych i punkty zdobyte przez "kulturę" nie były w stanie nadrobić tamtych strat. Było mi przykre ale sumienie miałem czyste. Zrobiłem co mogłem. Zrobiliśmy co mogliśmy. Szkoda, że nie wszyscy.

W oficjalnym komunikacie Komitetu Organizacyjnego i Jury "Festiwalu Powiatów" czytamy:

... "Równocześnie Komitet Organizacyjny "Festiwalu" postanowił uznać za najlepszego reżysera festiwalowego "dnia" reżysera występu namysłowskiego ob. B. [REDAKTOR] W. [REDAKTOR], powierzając mu kierownictwo i reżyserię Festiwalu Laureatów w amfiteatrze opolskim w dniu 22 lipca 1970 r...."

Po tym komunikacie z dnia 11 lipca już prawie codziennie "Trybuna" donosiła o przygotowaniach do imprezy finałowej, zapowiadała programowe ciekawostki, nałło, zamieniała mnie w "wicherka". Przez kilka dni strasznie lało. Wtedy właśnie na południu Polski walczone z tragicznymi powodziami. Deszczom nie było końca. I wtedy właśnie, w poniedziałek 20 lipca, "TO" w kolejnej informacji o imprezie pisała: "...Pozostaje jeszcze sprawa pogody. Główny reżyser - B. Waleński twierdzi, że pogoda jest urownana. Czekaj zresztą bardzo na deszcz, jako iż - jego zdaniem - lipiec bez dżdżystej "trzydniówki" nieważny. Dobrze, że "trzydniówka" wypadła przed 22 lipca, i w dniu naszej imprezy niebo będzie błękitne. Oby reżyser miał rację!"

Całe szczęście - miałem. O szóstej rano byłem już na amfiteatrze. Tak wcześnie rano rozpoczynaliśmy próbę. Późno, ale lepsze chociaż tyle niż zupełnie nic. Dopiero teraz zobaczyłem niektóre zespoły. Wszystkie musiały otrzymać instrukcje - kiedy wchodzić, jak wchodzić, jak się ustawiają, jak wykonują to czy

co innego i szereg technicznych szczegółów. Wszystko w wielkim tempie. Program miał trwać dziewięć godzin a na jego próby mieliśmy godzin tylko niepełne pięć. Absolutne szaleństwo!

O jedenastej zakończyłem próby i udałem się do hotelu. Wziąłem orzeźwiający prysznic, wypikam kawę, udekorowałem się śnieżnobiałą koszulą i, nie było rady na to, krawatem i z walacym od trazy sercem wróciłem na amfiteatr.

W jego niecce prażyło jak na patelni.

Widownia niezliczona około 5 tysięcy osób była prawie w porównaniu wypełniona. To i tak dużo. Nie liczyliśmy na dużą frekwencję, szczególnie w wypadku słonecznej pogody. Erzecież to wspaniała okazja do wycieczki nad wodę. A jednak...

Punktualnie w południe piosenkarz z kluczborskiego PDK Antoni [redacted] "Srebrnym weselem" rozpoczął program.

Po nim dokonywałem otwarcia festiwalu laureatów, witaniem mieszkańców Opola i siedzących w loży honorowej znacznych gości z przewodniczącym P WEN, sekretarzem KW PZPR, konsulem NRD na czele.

A zaraz potem na estradę wpadła I [redacted] i znowu, jak w Namysłowie, rozmowa, wierszyk, taniec i "hymn" po którym dzieci rozdzieliły się na dwie grupy i z kwiatkami pomaszzerowały do loży honorowej, serdecznie tam przytulane przez dostojnych widzów.

W ten sposób zainaugurowano kilkugodzinny maraton i jego pierwszą część zatytułowaną "Krajobrazy". W trakcie tego programu moi pomocnicy - instruktorka PDK w Niemodlinie i instruktor PDK w Koźlu, przeprowadzili "mają festiwal piosenki o opolskich miastach", w trakcie którego wykonane zostały przez zespoły i solistów piosenki o Namysłowie, Koźlu, Brzegu, Prądniku, Niemodlinie i Kluczborku. Z dużą satysfakcją przyjąłem decyzję publiczności, coraz liczniejszej, przyznającej w mikro-festiwalu pierwsze miejsce "Namysłowskiemu walczykowi", do którego napisałem słowa a muzykę skomponował instruktor muzyczny naszego PDK.

Po "Krajobrazach" następował program big-beatowy pt

"Uśmiechajcie się dziewczęta" z udziałem trzech najlepszych zespołów młodzieżowych Opolszczyzny. Było z nimi trochę kłopotów przy ustalaniu repertuaru, bo wiadomo, chcieli grać wyłącznie rytmiczne i ... głośnie utwory. Ja stanowczo jednak wybrałem im możliwie najciekawsze muzycznie, melodyjne i to właśnie zdecydowało o powodzeniu programu, którego odbiorcami byli nie tylko młodzi. Program prowadziła wspomniana już instruktorka PDK z Niemodlina a jej kolega z Koźła prezentował trzy zespoły w bloku regionalnym zatytułowanym "Polska wieś opolska". Przedstawiono tu oryginalny, nieskazony żadną stylistyką, zespół regionalny ze Smolarni i Broźca w powiecie Krapkowickim, oryginalny zespół ... górali żywieckich z Sidsziny w powiecie grodkowskim /górale z żyweca tam właśnie osiedlili się w 1945 roku i do dziś kultywują, z dużym zresztą powodzeniem, sztukę tańca i śpiewu swych rodzinnych stron/ oraz trochę przestylistowany zespół regionalny śląski z Dziergowic w powiecie Kozielskim.

Programy te zostały przyjęte przez opolan z serdecznym aplauzem. Została galówka zatytułowana "Ukochany kraj". Ten program prowadziłem osobiście. Rozpoczął go wspólnie śpiewanym "Północnym opolskim" chóry "Halka" z Bakowic i chór z Gogolina "Przyszłość". Zgrywały się całe przedpołudnie w hallu Prezydium WRN. Potem chóry wykonały 3 pieśni o wzniosłej patriotycznej treści, potem jeszcze młodzieżowcy z Prudnika śpiewali "Wrzasy" i nastąpił kulminacyjny punkt programu, którego bohaterką stała się Bronisława Gomołowa. Pozwolę sobie znów odwołać się do "Trybuny Opolskiej":

"...7 już lat istnieje amfiteatr w Opolu i gościł kilkadziesiąt mniej lub więcej udanych imprez z udziałem największych sław polskiej piosenki, teatru czy filmu. Śmiano się w nim, śpiewano, wołano o bisy, ale płakano po raz pierwszy dopiero przedwczoraj, na naszym finałowym koncercie Festiwalu Laureatów "Festiwalu

powiatów" "Trybuny Spolskiej". Czy wzruszenia wywołała u przeważającej części wielotysięcznej /teraz już nie było na widowni miejsca na prayskowiową szpilkę - dop.BB/ widowni nie żadna artystka ze światowych scen, lecz prosta, sympatyczna kobieta ze wsi Grodzisko w strzeleckim powiecie. B. [REDAKTOR] G. [REDAKTOR] objawiła się nam nie tylko jako urocza gawędziarka, piękną dykcją podająca teksty wspaniałą śląską gwarą. B. [REDAKTOR] G. [REDAKTOR] to symbol Matki-Ślązaczki - wiernej Polki, która strzegła w rodzinie języka i obyczajów ojczyстых, pędząc za to żywot w hitlerowskich więzieniach i lagrach. Kiedy skończyła swą gawędę B. [REDAKTOR] G. [REDAKTOR] kiedy po zaimprowizowaniu kilka wierszowanych aforyzmów, wykrzyknęła w tłum: Polska tu była, jest i zawsze będzie!, ludzie wstawali z miejsc, śpiewając "sto lat". B. [REDAKTOR] G. [REDAKTOR] i wszystkim godnym najwyższej czci kobietom tej ziemi - Ślązaczkom. I to był najwspanialszy, najpiękniejszy moment całego "Festiwalu powiatów". Warto było chociażby tylko dla niego organizować całą imprezę..."

Występ B. [REDAKTOR] G. [REDAKTOR] był szczegółowo wyreżyserowany. Odwiedziłem ją kiedyś w Grodzisku i odwiedziłem szczegółów. Wiedziłem więc co będzie i jak. I ...zostałem zaskoczony i podobnie jak wszyscy na widowni, szczerze wzruszony. To fakt, że G. [REDAKTOR] przekroczyła ramy scenariusza, zrobiła to jednak tak ujmująco serdecznie, tak szczerze patriotycznie, że sam miałem mokre oczy i ścisnął w gardle. Przygotowane były dla G. [REDAKTOR] ksiątki. Skąd się jednak wzięło aż tyle, nie wiem do dziś.

Na tym mógłbym skończyć relację z tej imprezy, a przecież tysiące widzów siedziały do końca, by bawić się w dalszej części programu i by wspólnie z wszystkimi uczestnikami imprezy wykonać pieśń Bygłotyńskiego "Ukochany kraj".

Ónowu noc gratulacji. Nazajutrz "Trybuna" pisała: "...Udał się nam kończący tę gigantyczną imprezę/Festiwal powiatów/ Festiwal Laureatów. Udał się bardziej niż tegoroczny Krajo-

wy Festiwal Polskiej Piosenki, o czym świadczyła znacznie żywsza, znacznie gorętsza reakcja nie mniej gęsto wypełnionej widowni..."

A następnego dnia, w następnej porcji informacji o przebiegu koncertu napisano: ... Trudno wymienić wszystkich, a wszystkich by się chciało wymieniać i podziękować. Przede wszystkim zaś głównemu reżyserowi imprezy, kierownikowi Powiatowego Domu Kultury w Namyskowie Bernardowi Waleńskiemu. Za to, że udowodnił, iż ... stać go na pełne wykorzystanie wspaniałego materiału artystycznego i na przygotowanie imprezy przewyższającej poziomem wiele galowych koncertów o randze ogólnopolskiej."

Pisała to gazeta, która była organizatorem imprezy. Trzeba więc trochę stopować pochwały. Ale przecież równie wyrażające opinię "Trybuny" była naprawdę idealna atmosfera za kulisami, wprost zaskakująca dyscyplina ponad 500 uczestników imprezy. To świadczy, że mieli do mnie zaufanie. Razem odnieśliśmy sukces, wspólnie wypracowany i wspólnie oklaskami nagrodzony przez mieszkańców prapolskiego Opola.

I nie było w stanie zagłuszyć tych oklasków zadane mi po kilku dniach pytanie:

- A kto wam towarzyszu pozwolił na zajmowanie się tym programem w Opolu? Kto wam udzielił urlopu?

Przykro mi, że pytanie to padło z ust sekretarza KP. Ale nie dziwię się. Namysków zajął dopiero dwunaste miejsce a o jakimś tam kierowniku PDK w gazetach pisali....

## XVII. CZAS REFLEKcji

---

---

Przed kilku miesiącami, we wrześniu, minęło 10 lat od momentu kiedy stałem się mieszkańcem Śląska, co jest równoznaczne z dziesięcioletnią pracą w powiatowym domu kultury.

Rzadko mam czas i ... nastrój, na popatrzenie za siebie. Czasem jednak trzeba to zrobić, nie tylko po to aby dokonać podsumowania. Zawsze to przecież pierwszy krok do marszu naprzód.

Nie będzie nieskromnością jeśli powiem, że jestem dziś starym gpolaninem i doświadczonym pracownikiem kultury a także, na przekór niektórym, działaczem społecznym. Doświadczonym na złe i na dobre. Gdyby pierwsze przeważało, może wróciłbym do szkolnictwa, może zostałbym urzędnikiem na ciepłej posadce? Pracuję nadal w domu kultury. Narażam się dość często: na krytykę przełożonych, na niezbyt przychylną opinię odbiorców naszej pracy. Bywa, że trzeba się pokłócić z dobrym przyjacielem i żyć w zgodzie z wrogiem. Często trzeba postępować wbrew samemu sobie i przeciw sobie. Jakże często trudno znaleźć odpowiedź na pretensje najbliższych - żony i córeczki. A jednak pracuję nadal. Ileż to już razy wyrzekałem się: to ostatni raz, więcej nie dam się zrobić, dość mam tej "kultury". Prześpi się człowiek i znowu jest optymistą. Spróbuj jeszcze raz, może wyjdzie, tylko trochę inaczej. Wierz w ludzi!

Nie jest społeczna działalność rzeczą łatwą. Na każdym kroku czują niespodzianki. Pewniak leży, coś niemożliwego staje się faktem.

Przykro jest być podsumowywanym.

I dlatego chyba w żadnej pracy nie cieszą tak bardzo jak u nas, choćby skromne dowody uznania. Jedno "dziękuję" to ładunek energii na dalsze tygodnie, miesiące, lata wyrzeczeń, wolnego czasu, przyjemności.

Byłem w okresie swej pracy w "kulturze" nagradzany wielokrotnie. Pierwszą nagrodę otrzymałem już w listopadzie 1960 roku w Strzecach. Z okazji Dnia Nauczyciela przyznano mi, mimo dopiero dwa i pół miesiąca pracy, 500,- złotych nagrody i ...paczkę "wrocławskich" jakie wówczas paliłem a o które było strasznie trudno. Był to osobisty prezent ówczesnego przewodniczącego Prezydium PZPN. Kto wie, czy właśnie te upominki nie zadecydowały o dalszych losach moich. Nagroda jest akceptacją czyjś postępowania.

Potem było nagród i wyróżnień sporo. Na przemian z ciężkimi nieraz bojami o skuteczną linię postępowania. Zostałem doświadczony zwolnieniem ze stanowiska nie bardzo przecież na to zasługując. Zostałem doświadczony chorobą. Ale otrzymałem też nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Miakem wypięki na twarzy i brakowało mi odwagi by spojrzeć ludziom w oczy po niektórych występach prowadzonych przez mnie zespołów. Ale moi wychowankowie odnosili sukcesy na estradach całego województwa, przywozili tytuły najlepszych, dyplomy, sami zbierali nagrody.

Dostąpiłem zaszczytu prowadzenia dużej imprezy wojewódzkiej co spowodowało niechęć niezadowolonych z tego niektórych przedstawicieli moich władz.

Kłaniali mi się na ulicy nieznanymi ludźmi i odwracali nie wiadomo o co obrażeni koledzy.

Ukoronowaniem dziesięcioletniej pracy było najwyższe wojewódzkie wyróżnienie : doroczna nagroda Wojewódzka za Wybitne Osiągnięcia w Upowszechnianiu Kultury. Otrzymałem ją w lipcu 1970 roku. Cieszyło mnie oprócz samego faktu uznania moich wyników to, że nagrodę przyznano mi w jubileuszowym roku ówczesnego powrotu Ziemi Opolskiej do Polski. Zawsze uroczysty moment, nabrawszy jeszcze bardziej odświętnego charakteru.

Jak wygląda moje dziesięciolecie mieszkańca Opolszczyzny prywatnie? Mam nie tylko mieszkanie. Mam dom. Mam żonę, trochę za często narzekającą, chociaż trudno nie przyznać jej racji przynajmniej w połowie. Mam urodzoną w stolicy województwa, trochę strzelczankę, trochę namysłowiankę ale bardzo Polkę, prawie sześciolletnią córeczkę. Za kilka miesięcy skończą się dla niej dobre przedszkolne czasy i zaczną jeszcze lepsze czasy szkolne. Nauczy się pisać, czytać, liczyć. Jednego nie muszę jej już uczyć. Patriotyzmu. Tego wielkiego i tego małego. Miłości Ojczyzny i miłości własnego regionu.



Jeśli nawet efekty mojej pracy w domu kultury, działacza partyjnego i społecznego, są może niezbyt wystarczające to swemu dziecku z pełnym powodzeniem oddałem to, czego nie pokazywała mi moja Matka - unizowanie własnego kraju.

Jestem za półmetkiem w drodze do magisterskiego tytułu. Tu żadnych usprawiedliwień dla siebie nie mam. Zawaliłem. Mogłem osiągnąć ten cel znacznie wcześniej. Rozumiem to i mam nadzieję do mety dociągnąć.

Wiele razy byłem w krytycznej sytuacji finansowej. Były okresy, że miałem jedno ubranie, jedną parę butów. Dziś mam ich kilka. Żona chodzi modnie ubrana a [ ] ma w swoim pokoju "sklep z zabawkami". Nie przelewa się nam, nie możemy jednak narzekać. Samochodu nie mamy i nic na niego nie wskazuje. Ale córeczka ma sanie, narty, rowerki. Są więc środki lokomocji. Ja sobie pochodzę.

Jest sporo do zrobienia. Co ciekawsze, tak to w kulturze bywa - im więcej zrobione tym więcej do zrobienia zostaje. Rozbudzanie apetytów.

Przed kilkoma dniami byłem z dziennikarzem "Trybuny Opolskiej" na spotkaniu w Bychynowie. Wieś, jak przeciętna w naszym powiecie, nie za biedna, nie za bogata. Na sali było około 40 osób, sami dorobli, w tym kilka kobiet. Wymęczyli redaktora. Zdziwił mnie jednak ich język. Przecież oni mówili jak uniwersytecki profesor. I to wcale nie po to aby się popisać, że znają jakieś tam wyrazy obcego pochodzenia. Oni je opanowali, one weszły do ich codziennego użytku. Skąd się wzięły? Telewizja, prasa i książki. Na tym spotkaniu, przyskuchując się mi, spróbowałem porównać siedzących na sali rolników z rolnikami jakich spotykałem w pierwszym okresie mojej pracy. To tak samo jak ja w wieku sześciu lat i moja córeczka. Porównywać nie można. I wtedy odczułem dużą satysfakcję: w tym jest też częśćka mnie.

Nie poszły na marne te lata. Na pewno nie dla mnie. Ale napewno i dla społeczeństwa.

Urodziłem się w Wielkopolsce. Kibicuję "Warcie" i "Lechowi". Ale drzę o każdy wynik opolskiej "Odry". Jestem Ślązakiem.